"Spirala"

W wilgotnym powietrzu czuję tylko zapach deszczu i krwi. Leżąc na mokrej trawie patrzę na wieczorne szare jak popiół niebo. Ciężkie chmury przeszły dalej. Nie widzę zbyt wyraźnie, jeszcze nie doszłam do siebie po ciosie Strizlapallończyka, ale bitwa chyba dobiegła już końca. Nie słychać szczęku oręża, ani krzyków umierających; wrogowie, choć niewątpliwie zaraz się zjawią, na chwilę zostawili mnie samą z moimi myślami.

Jak to się stało, że tu jestem? Jak do tego doszło, że zamiast wieść spokojne życie na żyznych polach w dolinie Andumrii, dane mi będzie umrzeć w tym plugawym miejscu od mieczy leśnych barbarzyńców Strizlapallonu?

***

Mnie, Aromi z ludu Andumrii, biorącego nazwę swą od rzeki, nad którą się osiedlił, nie była pisana wojna. Żadnej kobiecie nie była. Miałam, tak jak inne, wyjść za mąż, urodzić dziecko, dobrze je wychować i opiekować się domowym ogniskiem. Potem dożyć swych dni lepiąc garnki, wyplatając kosze, a w zimne wieczory przy ognisku dzielić się z młodszymi zgromadzonymi przez lata okruchami mądrości. Początkowo tak właśnie układały się sprawy.

Baruf, mężczyzna silny i dobry, pojął mnie za żonę, gdy miałam siedemnaście lat. Dobrze mnie traktował, niczego mi przy nim nie brakowało. Mężowie Andumrii słyną z honoru, a szczęście i bezpieczeństwo rodziny to jedne z jego najważniejszych wyznaczników. Wkrótce stałam się brzemienna. Zdawało się, że nic nie zakłóci już naszego szczęścia, mieliśmy wieść spokojne życie w bezpiecznej urodzajnej krainie wraz z gromadką dzieci, psami i bydłem.

Pewnego dnia jednakże do tego sielankowego kraju przybyli obcy, nieznany lud z dalekich lasów, który nie podzielał naszego pokojowego stylu życia.Ponurzy brodaci mężczyźni, gwałtowni i nieokrzesani, przywędrowali z gęstych puszcz Strizlapallonu skuszeni bogactwami natury Andumrii. Chcieli naszych ziem i naszych kobiet. Gdy pojawili się po raz pierwszy – dokładnie to pamiętam, choć minęło już prawie czternaście lat od tego dnia – ich pełne okrucieństwa twarze śmiały się szyderczo. Przybyli odziani w łuskowe zbroje, z mieczami o szerokich ostrzach w dłoniach. Kilku z nich miało na sobie tylko skóry jakichś nieznanych nam leśnych zwierząt, a na głowach budzące grozę hełmy z ich poroża. Choć drużyna ta była nieliczna, nie sposób było doszukać się u nich oznak strachu. Patrzyli na nas jak na tłuste cielęta w zagrodzie, w głowach z pewnością dzielili już łupy. Wyzwani przez naszych mężów do walki tylko się roześmiali. Odeszli, lecz nie na długo.

Gdy przybyli następnym razem, oprócz bogactw łaknęli też naszej krwi. Tak oto po raz pierwszy w Andumrii zabrzmiały wojenne bębny.

Nasi mężczyźni musieli ustąpić pola. Byli, co prawda liczniejsi, lecz nie tak zahartowani w boju, jak najeźdźczy przybysze. W sercach Andumrian nie płonęła dająca niszczycielską siłę żądza mordu. Nie napędzała nas nienawiść. Jeszcze nie.

Strizlapallończycy bez większego trudu zabrali nam północną część terytorium. Pokonani i zhańbieni mu-

sieliśmy uciekać w górę rzeki. Ja i Baruf także. Ratując życie pozostawiliśmy nasz dobytek na pastwę brudnych dzikusów w skórach. Dom, w którym mieliśmy w spokoju dożyć swych dni, odebrano nam mieczem.

Schronienie znaleźliśmy u rodziny Barufa na południu. Śmierć chwilowo przestała nam zagrażać, lecz wiadome było, że barbarzyńcy pewnego dnia przyjdą i tutaj. Ogłoszono powszechną mobilizację do wojny.

Nasza rodzina poniosła jeszcze jedną, szczególnie dotkliwą stratę. Dziecko, które nosiłam pod sercem nie przetrwało niewygód i ciągłego strachu przed wrogami. Gdy opuściło moje łono martwe, martwa stałam się i ja.

Minął rok, dłonie Andumrian wreszcie przypomniały sobie jak należy trzymać miecz. Walki wybuchały raz po raz, ale nasza starszyzna, mało energiczna i nieprzywykła do podejmowania zdecydowanych kroków, nie zdecydowała się na otwartą konfrontację z okupantami naszych ziem. Lata życia w pokoju osłabiły w nas ducha. Wstyd, że to ja, kobieta, czynię takie spostrzeżenia, podczas gdy mężczyźni wolą przygotowywać się i debatować, niż co tchu ruszać na wroga.

Przez ten czas, gdy pochód Strizlapallończyków póki co się zatrzymał, a Andumrianie zbierali siły, spadł na mnie kolejny cios. Pomimo wysiłków, wraz z mężem nie doczekaliśmy się kolejnego potomka. Z początku Baruf mnie pocieszał, wierzył, że w końcu się uda. Potem szukał porady u zielarza. Gdy po dłuższym czasie zaczęto po cichu kpić z jego męskości moje obawy się spełniły. Baruf odprawił mnie. Miał do tego prawo, nie mogłam mu dać syna, więc nie byliśmy rodziną. Zostałam sama – niepełnowartościowa kobieta bez szans na męża.

Zamieszkałam wraz z wdowami, którym oręż najeźdźców odebrał mężów. Choć przyjęto mnie dobrze, nie należałam do nich. Byłam wciąż jeszcze młoda, a mój mężczyzna nie zginął w boju. Odszedł ode mnie, gdyż nie byłam w stanie spełnić podstawowego obowiązku żony. W trudnych czasach, gdy trzeba było wytężyć wszystkie siły dla ratowania naszej wspólnoty, ja stałam się zbyteczna.

Pewnego ranka coś obudziło mnie bardzo wcześnie. Zerwałam się zlękniona na dźwięk krzyków, lecz nie był to atak wrogów. Nasi wojownicy zebrali się na polach za osadą, by trenować młodzików. Drewniane miecze stukały zawzięcie, cięciwy łuków śpiewały cichą pieśń, ktoś wywrzaskiwał komendy. Podeszłam bliżej, by popatrzeć na tych, którzy w przyszłości, jak wszyscy mieliśmy nadzieję, przepędzą intruzów z naszych ziem.

Młodzieńcy ćwiczyli fechtunek w parach. Wśród nich, z rękami splecionymi na szerokiej piersi, przechadzał się Nahro, wysoki, zwalisty mężczyzna – znakomity wojownik i nasz najbardziej doświadczony myśliwy. Obserwował postępy młodych, komentował i poprawiał błędy. Dopiero po chwili dostrzegł moją obecność.

– Odejdź, nic tu po tobie, kobieto – rzekł krótko, by natychmiast stracić zainteresowanie moją osobą.

Jak patrzę na to z perspektywy minionych lat, jestem prawie pewna, że gdyby te słowa nie padły z jego ust, rzeczywiście odeszła bym stamtąd. To krótkie zdanie dotknęło mnie jednak dużo bardziej, niż przypuszczalnie powinno. Słowa Nahro uświadomiły mi coś: moje życie, tak spokojnie zapowiadające się jeszcze rok temu, uległo gwałtownej zmianie nie z powodu mojej winy, czy złego losu. Szczęście, wraz z ojczystą ziemią, odebrał mi brodaty dzikus żyjący jak zwierzę w lasach Strizlapallonu. Brudnym bucio-

rem zdeptał moje marzenia, odebrał rodzinę i należną pozycję.

Szorstka rękojeść treningowego miecza kłuła moją dłoń, tarcza wydawała się nieporęczna, niczym nowa zbyteczna kończyna. Mimo to stanęłam wyprostowana tuż przed Nahro.W chwili, gdy jego nieruchome szare bezlitosne oczy spoczęły na mnie, serce mało nie wyskoczyło mi z piersi.

– Co ty wyprawiasz?

Zaciekawione młodziki przerwały trening, któryś coś zaszeptał, inny zachichotał cicho. Mimo to wytrzymałam. Nie odwróciłam wzroku, choć sporo mnie to kosztowało, aż wreszcie po chwili wojownik przemówił.

– Pozwoliłem wam przerwać? Wracać do ćwiczeń, kundle!

A potem wziął do ręki drewniany miecz. Naprzeciw mnie – wówczas słabej, niezdarnej kobiety – stał wyższy o głowę i pewnie dwakroć cięższy zaprawiony w walce mąż. Wciąż mierząc mnie stalowym spojrzeniem dał znak wolną dłonią. Nie trzymał w niej tarczy.

Tłumiony gniew znalazła nagle ujście. Ruszyłam z wrzaskiem bijąc z całych sił, byle jak, na oślep, napełniając świeżo rozbudzoną furią każdy cios prowizorycznym orężem, jakby to Nahro był jednym ze Strizlapallończyków. Moje żałośnie niewprawne ataki nie były jednak w stanie go dosięgnąć. Wojownik, jak na osobę o takich rozmiarach, okazał się nad wyraz zręczny. Z łatwością odbijał moje ciosy, bądź schodził z ich drogi. Szybko opadłam z sił, chwilowy szał minął. Nagle miecz zrobił się straszliwie ciężki, jakby zamiast bukowego drewna wykonany był z kamienia.

Nahro był bezlitosny. Uderzył tylko raz, zdawać by się mogło od niechcenia, niedbale. Choć jakimś cudem zablokowałam cios tarczą, jego siła rzuciła mnie na ziemię. Ciężki bucior wybił mi miecz z ręki, sztych przeciwnika spoczął na moim gardle.

– Więcej tu nie przychodź, to nie jest miejsce dla kobiet – warknął Nahro, po czym odwrócił się do ćwiczących.

– Nie jestem już kobietą! – przełykając cisnące się łzy krzyknęłam do jego obojętnych pleców.

Odeszłam, a spojrzenia chłopców paliły mnie w plecy jak iskry z paleniska.

Następnej nocy kiepsko spałam. W urywanych koszmarach uciekałam przed kamieniami miotanymi w moim kierunku przez ogromne skryte w cieniu brodate postacie. Ich głosy szydziły ze mnie i cały czas powtarzały te same cztery słowa.

"Nic tu po tobie!"

Rankiem znów przyszłam na pola. Stanęłam wyprostowana pośród ćwiczących, gotowa w każdej chwili zmierzyć się z każdym z nich, a twarz Nahro, pomimo jego milczenia, mówiła mi wszystko. Nie był już rozgniewany, w jego oczach pozostała tylko litość.

Być może współczuło mi jego serce, ale z pewnością nie miecz. Ciosy spadały na mnie ze wszystkich stron. Chciał mnie zniechęcić, pokazać mi, gdzie moje miejsce, myślał, że ból mnie złamie. Mylił się. Choć mogłam policzyć wszystkie swoje kości, choć ramię nie miało już siły, by podnieść oręż, ciągle

stałam przed nim i nie zamierzałam odpuścić.

W końcu Nahro opuścił miecz. Patrzyliśmy sobie w oczy, on – z lekko tylko przyspieszonym oddechem, ja – ledwie żywa z bólu obitego ciała i zmęczenia. Wojownik skinął głową.

– Przyjdź jutro. Wiele musisz się nauczyć, ruszasz się jak objuczony wół.

Na te słowa jego młodzi uczniowie zakrzyknęli radośnie, kilku zaczęło klaskać. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że wszyscy patrzyli na mnie.

– Trenować dalej, wy leniwe łajzy, ale to już! – ryknął Nahro i szturchnął dwóch stojących najbliżej czubkiem miecza.

Tak rozpoczęła się moja nauka wojennego rzemiosła, zajęcia do tej pory zarezerwowanego wyłącznie dla mężczyzn. Miałam nowy cel.Z czasem dłonie stwardniały, wątłe ramiona nabrały krzepy, a miecz, zamiast nieporęcznego obciążenia, stał się nieomal przedłużeniem ciała. Nie brakło mi oddechu po zaledwie chwili walki, nogi ruszały się szybko i pewnie. Po roku codziennych treningów skakałam niczym łania wokół nowych młodzików dopuszczonych do ćwiczeń, śmiejąc się w duchu, lecz nigdy na głos, z ich niezdarności. Po kolejnym, sama już uczyłam swoją grupkę.

Strizlapallończycy osiedli na zdobytych ziemiach, lecz, co było do przewidzenia, nie zamierzali na tym poprzestać. Dalszy marsz na południe miał się wkrótce rozpocząć, o czym świadczyły ich poczynające sobie coraz śmielej, póki co nieliczne zbrojne grupy zauważane na naszych terenach. Nie spodziewali się większego oporu ze strony Andumrian.

Prócz codziennych treningów zajmowały mnie polowania. Nahro nauczył mnie strzelać z łuku, pokazał jak oprawiać zwierzynę, zapoznał z terenami łowieckimi. Podczas niezliczonych godzin, które spędziliśmy tropiąc sarny i dziki, przekazał mi całą swoją wiedzę o lesie, roślinach, orientacji w terenie, czytaniu śladów, czy cichym poruszaniu się wśród drzew. Był milczącym towarzyszem, ale bardzo cierpliwym nauczycielem. Nigdy nie okazywał gniewu, nawet gdy, przez swą niezdarność, płoszyłam zwierzynę. Z szarości jego oczu zniknęła litość, którą widziałam wyraźnie pierwszego dnia. On i pozostali wojownicy okazywali mi szacunek; choć byłam kobietą, zaakceptowali mnie jako jedną z nich.

Pewnego razu polując oddaliliśmy się dość daleko na północ od osady. Zaledwie parę godzin dalszej wędrówki dzieliło nas od utraconych ziem nad rzeką. Ponieważ niebo robiło się już szare, Nahro zaproponował byśmy spędzili noc w lesie, a skoro świt ruszyli dalej po śladach zwierza. Ułożyliśmy sobie zatem posłania ze ściółki. Wkrótce ciemność nadpłynęła niczym fala. Byliśmy sami w nocnej ciszy, której nie zakłócał najlżejszy szmer, mrok zaś był gęsty, gdyż tarczę księżyca przesłoniły chmury. Niepokój nie pozwalał mi zasnąć. Przykryta płaszczem trzęsłam się ściskając w dłoni rękojeść myśliwskiego noża, gotowa skoczyć na równe nogi przy każdym trzasku gałęzi, czy pohukiwaniu sowy. Niespodziewanie usłyszałam głos Nahro.

– Połóż się przy mnie, będzie ci cieplej.

Jego żona, Amnaja, zmarła kilka lat temu, jeszcze zanim wojna zawitała do Andumrii. Poważnie zraniła sobie nogę na ostrym kamieniu i wdało się zakażenie. Umierała przez kilka dni, a wraz z nią odszedł mężczyzna, którym niegdyś był Nahro. Od dnia jej śmierci stał się posępny i cichy. Nie przeszkadzało mi to. Nie mówił wiele, ale był dla mnie dobry, to wystarczało. Gdy leżeliśmy obok, wcale nie zaskoczyło

mnie, gdy po jakimś czasie poczułam dotyk jego dłoni. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie jak bardzo byłam samotna od czasu odejścia Barufa. Ułożywszy głowę na szerokiej piersi Nahro pierwszy raz od dawna zasnęłam spokojnie.

Świt jeszcze nie całkiem rozdarł zasłonę nocy, gdy coś wyrwało mnie ze snu. Popatrzyłam na Nahro; był czujny i spięty. Gdy próbowałam coś powiedzieć położył palec na ustach, a drugą ręką sięgnął po łuk. Wtedy moich uszu dobiegł szelest poszycia, gdzieś trzasnęła gałązka. Ktoś nadchodził.

Bardzo powoli, uważając, by nie wydać najmniejszego dźwięku, podniosłam się do pozycji klęczącej. Strzała leżała gotowa na cięciwie, nóż zatknięty z tyłu za pasek. Cokolwiek miało zaraz wyjść z zarośli, byłam gotowa stawić temu czoła.

Nahro nasłuchiwał. Widziałam, jak jego bystre oczy czujnie przeszukują okolicę, podążają za słaby odgłosem kroków, które raz zdawały się oddalać, raz sprawiały wrażenie niebezpiecznie bliskich. Ostrożnie prostował grzbiet, równocześnie naciągając cięciwę. Zrobiłam to samo, odsunąwszy się na parę kroków.

Las ciągle był pełen cieni, wschodzące słońce nie nabrało jeszcze dość sił, by przebić mrok. Mimo to moje oczy, jak ślepia leśnego drapieżcy, przywykłe były do dostrzegania każdego ruchu w gęstwinie. Strizlapallończyk skradał się jakieś dziesięć metrów od nas. Nie widział mnie, patrzył pod nogi, by przypadkiem nie zdradzić swej obecności następując na gałąź. Nosił hełm, lecz poza gęstą brodą, która oczywiście nie zapewniała żadnej ochrony, nic nie zakrywało jego szyi. Obserwowałam ją zza pierzastej lotki łaskoczącej mnie w policzek. Celowałam bez pośpiechu.

Nawet nagły ruch dostrzeżony kątem oka nie zdołał zburzyć mojej koncentracji. Wypuszczona strzała pomknęła niechybnie ku gardłu dzikusa i wbiła się w nie głęboko. Mogłam przestać się już nim przejmować, zdechnie w ciągu następnych kilku sekund. Ale oto jak z pod ziemi tuż obok Nahro wyrósł kolejny napastnik. Zaatakował dokładnie w momencie gdy oddawałam strzał i teraz obaj mężowie zwarli się w chaotycznych zapasach. Mój towarzysz szczęśliwie zdołał przechwycić uzbrojone w sztylet ramię, nim zatopiło go w jego ciele. Natychmiast odrzuciłam łuk – strzał był zbyt ryzykowny, mogłam trafić Nahro – i z myśliwskim nożem w dłoni ruszyłam na pomoc. Nie zabraliśmy innego oręża, wszelkie żelastwo tylko zawadza na polowaniu.

Przeciwnik Nahro był równie masywny, co on. Napierał usiłując pozbawić oponenta równowagi i przewrócić na ziemię, Andumrianin zaś bronił się zawzięcie przed wymierzonym w jego pierś ostrzem. Zdychaj, bękarcie puszczy, pomyślałam sprężając się do skoku. Już miałam rzucić się na zwróconego do mnie akurat plecami wroga, gdy nagła siła zbiła mnie z nóg. Runęłam oszołomiona na leśną ściółkę, drzewa gwałtownie zawirowały mi przed oczami. W moje nozdrza uderzył odór starych skór, a warczący groźnie ciężar przygniótł mi pierś odbierając oddech. Odruch uratował mi życie. Instynktownie zablokowałam przedramieniem opadające ramię przeciwnika, który leżał na mnie. Sparaliżowana szokiem ujrzałam wiszące pół metra nad moją głową zakrzywione ostrze topora. Strizlapallończyk ryknął wściekle i wolną ręką uderzył mnie w twarz. Wszystko w jednej chwili skryło się za mgłą. Dłoń opadła mi bezwładnie na ziemię, mogłam jedynie patrzeć jak, zaciskając gniewnie szczęki, odziany w zwierzęce skóry wojownik unosi oburącz topór do kończącego ciosu. Zauważyłam, że nosił na głowie poroże, podobnie jak ci, którzy pierwszego dnia tej okrutnej wojny zjawili się w krainie Andumrii. W jego oczach szalała dysząca żądzą krwi dzikość lasu. Bezlitosne ostrze nie opadło jednak. Potężna postać Nahro wyrosła nagle za plecami klęczącego przeciwnika. Jedną ręką złapał za wzniesiony topór i pociągnął do tyłu, drugą zaś wbił szeroki nóż do oprawiania zwierzyny aż po samą rękojeść w gardło dzikusa. Jego ciało zadygotało jak kukła. Nahro przeciągnął ostrzem poziomo, jakby szlachtował świnię. Ciepła krew chlusnęła na moje

ubranie. Strizlapallończyk zacharczał obrzydliwie, po czym padł na bok dogorywając w konwulsjach.

Z pomocą towarzysza wstałam chwiejnie, choć wciąż dzwoniło mi w uszach po uderzeniu. Zauważyłam, że pierwszy z napastników – ten, który mocował się z Nahro – również leżał martwy. Prawy bok jego skórzanego kaftana przesiąknięty był krwią.

– Co tu robili? Nie polowali przecież, wyglądali raczej jakby szli na bitwę – powiedziałam, gdy tylko upewniłam się, że towarzyszowi nic nie jest.

Nahro pochylił się. Przez chwilę w zamyśleniu obracał w wielkiej dłoni stylisko topora, który o mało co nie pozbawił mnie życia.

– Weź broń tamtego. Lepiej wracajmy do osady – rzekł wskazując na miejsce, gdzie wróg padł od wystrzelonej przeze mnie strzały.

Skinęłam głową. Podeszłam do mojej ofiary, pierwszego zabitego z mojej ręki człowieka. Pamiętam dokładnie, jak leżał na plecach wznosząc martwe oczy ku niebu. Były ciemne i bezbrzeżnie zdziwione. Dobry strzał, pomyślałam sobie wtedy. Zabrałam jego miecz, którego nie zdążył nawet dobyć, nim grot przebił mu gardło. Ostrze było ciężkie, ale zaskakująco dobrze wyważone.

Mój towarzysz w tym czasie zaciągnął ciała pokonanych głębiej w zarośla, a ślady krwi ukrył pod ściółką.

– Nahro, ja... chciałam ci... – zaczęłam, lecz natychmiast mnie uciszył.

– Zrobiłabyś to samo na moim miejscu.

Ruszyliśmy spiesznie, trzeba było szukać zwierzyny łownej gdzie indziej. Nie uszliśmy nawet pięciu kroków, gdy Nahro drgnął nagle, a uszu mych dobiegł dobrze znany świszczący dźwięk.

– Co...? – jęknęłam. Nie zdołałam jednak dokończyć, gdyż, skamieniała z przerażenia, ujrzałam zatopioną w jego piersi strzałę.

– Kryj się! – krzyknął wojownik, a zaraz potem ugodził go kolejny pocisk.

Nie byłam w stanie się ruszyć. Choć podświadomie wiedziałam, że nie mogę tak stać, jedyne co mogłam zrobić to złapać za ramiona osuwającego się na kolana Nahro.

– Aromi, zostaw mnie, uciekaj! – warknął.

Wtedy usłyszałam inny znany odgłos. Dźwięk wyciąganej z pochwy stali.

Wychodzący spomiędzy zarośli Strizlapallończyk był wielki jak góra, a poruszał się przy tym sprawnie i szybko. Rozpędzony natarł na mnie bez najmniejszego wahania. Sparowałam ukośne cięcie, znów zadziałał wyniesiony z treningów odruch. Wróg jednak, wykorzystując pęd masywnego ciała oraz zakleszczenie naszych mieczy, kopnął potężnie w mój odsłonięty brzuch. Brutalny atak rzucił mnie na ziemię jak szmacianą lalkę, odbierając powietrze i zdolność trzeźwego myślenia. Zdobyczny oręż poleciał gdzieś na bok. Zwijając się z bólu na leśnym poszyciu, znów obserwowałam jak wszystko gaśnie mi przed oczami znikając za rozmazaną mgłą. Zdążyłam jeszcze zobaczyć kolejnego wroga opuszczającego cień drzew, a po-

tem coś ciężkiego spadło na moją głowę i całkiem straciłam świadomość.

Ból przywrócił mnie do rzeczywistości. Ostrze strizlapallońskiego noża drasnęło skórę na udzie, gdy niecierpliwym ruchem rozcinał moje płócienne spodnie. Patrzyłam na to wciąż oszołomiona. Obserwowałam jego ordynarną zarośniętą twarz i nagle zrozumiałam, co zaraz nastąpi. Zerknęłam w bok. Tam niedaleko drugi z barbarzyńców pochylał się nad leżącym Nahro, chyba sprawdzał, czy Andumrianin miał przy sobie coś wartego zabrania. Tymczasem mój oprawca szarpnięciem rozdarł moje pocięte spodnie. Na moment wyprostował plecy cały czas klęcząc nade mną. Z obrzydliwą mieszaniną triumfu, rozbawienia, nienawiści i chuci patrzył mi prosto w oczy napawając się moją bezbronnością. Ja jednak wcale nie byłam bezbronna.

Nie spuszczając ze mnie wzroku powoli rozpinał swój pas. Czekałam w napięciu. Z jednej strony, moje myśli były przerażająco wręcz jasne. Rozważałam każdy ruch całkowicie na zimno, jakby wcale mnie to wszystko nie dotyczyło. Wiedziałam że nie mogę jeszcze sięgnąć po nóż, Strizlapallończyk musi mieć poczucie całkowitego zwycięstwa. Miałam tylko jedną szansę, choć, nawet jeśli mi się uda, prawdopodobnie nie wyjdę już z tego lasu żywa. Równocześnie bezrozumna furia niemal rozsadzała mnie od środka. Najchętniej od razu rzuciłabym się na tego skurwysyna z lasu i gołymi rękami wyrwała mu serce, a potem rozdarła je na strzępy.

Uśmiechając się pogardliwie mężczyzna opuścił spodnie. Udając sparaliżowaną strachem patrzyłam jak jego wyrastający z gęstych czarnych włosów łonowych członek stoi już gotowy, twardy i lśniący na czubku. Brutalnie rozwarł mi nogi.

– Chodź do tatusia – zamruczał – jeszcze nie miałem andumriańskiej kurewki. Wasi mężczyźni najwyraźniej nie potrafią zadbać o swoje kobiety, ale ja się tobą zajmę jak należy. Zaraz poczujesz czym jest prawdziwy mężczyzna.

Runął na mnie, ciężki i silny, aż przez chwilę nie mogłam złapać oddechu. Zacharczał jak wieprz, a potem wbił się we mnie gwałtownie. Zacisnęłam zęby. Cuchnął paskudnie, ciężko dyszał mi prosto w nozdrza, a jego oddech zalatywał czosnkiem. Pchał z całych sił unosząc mi biodra do góry.

– Jaka ciaśniutka. Niedojdy z waszego plemienia jeszcze nie zdążyły cię wyjechać? – sapnął Strizlapallończyk. To były jego ostatnie słowa.

Gdy pchnął znów, przekręciłam się lekko i wyszarpnęłam nóż z pochwy przytroczonej z tyłu do paska. Całą siłą swojego gniewu wbiłam ostrze w plecy dzikusa. Stęknął cicho, a całkowite zaskoczenie malujące się w jego dotychczas tak pewnych siebie oczach napełniło moje serce dziką radością.

– Giń, ty ścierwo – syknęłam i wbiłam nóż ponownie.

Spróbował się podnieść, lecz drugą ręką natychmiast oplotłam i przysunęłam do siebie jego głowę, nogami zaś otoczyłam jego biodra. Niesiona wściekłością kłułam raz za razem. Mężczyzna szamotał się w panice, rąbnął mnie kilkukrotnie pięścią po żebrach, lecz nic mu to nie dało. W takiej pozycji nie mógł skorzystać ze swej przewagi siły. Spojrzałam na jego towarzysza. Był odwrócony do nas plecami, z wyraźnym zainteresowaniem poddawał oględzinom trzymany w rękach łuk Nahro. Swoją broń miał schowaną w pochwie, nie spodziewał się zagrożenia.

Leżący na mnie wojownik zajęczał cicho. Czyniąc, jak wcześniej Nahro, przeciągnęłam wbitym w ciało

napastnika nożem, aż poczułam lepkość ciepłej krwi na palcach. Potem Strizlapallończyk znieruchomiał, jego sapanie ustało. Nie czekałam ani chwili. Naprężając wszystkie mięśnie przetoczyłam jakoś bezwładne cielsko na bok.

– Co, już skończyłeś? – zapytał drugi z barbarzyńców. Wciąż patrzył na łuk, ale już odwracał się w moim kierunku.

Natychmiast skoczyłam na równe nogi. Stał ledwie kilka kroków ode mnie, lecz dystans ten wydał mi się wtedy niewyobrażalnie odległy. Chciałam biec jak najszybciej, a nogi ruszały się jakbym brodziła po pas w błocie. Dzieliły nas może dwa metry, gdy wojownik wreszcie spojrzał na mnie. Uda się, pomyślałam skacząc z wymierzonym w niego sztychem noża, teraz albo nigdy!

Pomimo całkowitego zaskoczenia, mężczyzna okazał się niesamowicie szybki. Był drobniejszy od swego towarzysza, lecz siłę rekompensował mu refleks. Odrzucił łuk i niezdarnie spróbował odskoczyć, przez co zmierzające ku jego gardłu ostrze zaryło jedynie w kość obojczyka. Natychmiast ponowiłam pchnięcie, tym razem mierząc w brzuch. Wojownik cofnął się o kolejny krok, a atak jakimś cudem zdołał zablokować ręką, choć klinga przecięła mu przedramię. Nacierałam dalej niesiona wściekłością i strachem. Wiedziałam, że w otwartej walce nie mam z nim szans. Albo zabiję go teraz, gdy jest nieprzygotowany, albo zginę z jego ręki.

Ku mojej rozpaczy moment zaskoczenia najwyraźniej już minął. Strizlapallończyk uchylił się przed moim cięciem i nagle w jego ręku błysnęła stal sztyletu. Krążyliśmy wokół siebie w śmiertelnym tańcu obok zwłok Nahro. Wojownik uśmiechnął się jadowicie. Całe szczęście nosił tylko lekki skórzany kaftan, który nie oprze się ciosom myśliwskiego noża. Przyjął postawę, sztych jego broni falował szukając luk w obronie. Nagle skoczył markując pchnięcie aby zaraz dwukrotnie ciąć po skosie. Pierwszy atak nie doszedł celu, lecz kolejny chlasnął mnie płytko tuż nad okiem. Bez chwili wahania, wykorzystując zbliżenie przeciwnika, rzuciłam się naprzód. Setki godzin ćwiczeń dały mi zręczność, o którą nigdy bym się nie podejrzewała. Tak jak nauczył mnie Nahro, pochylona złapałam u zgięcia kolan nogi Strizlapallończyka, pociągnęłam do siebie, równocześnie napierając barkiem na jego korpus. Zapaśniczy rzut wyszedł doskonale, zaskoczony mężczyzna runął ciężko na plecy. Padając zawadził uzbrojoną ręką o moją głowę, lecz nie zwracałam na to uwagi. Całą siłą zatopiłam ostrze w udzie leżącego przeciwnika. Wojownik zawył z bólu i wściekłości.

Teraz mam szansę, pomyślałam doskakując do leżącego Nahro. Topór wciąż spoczywał tam, gdzie upuścił go Andumrianin. Znów miałam przewagę. Strizlapallończyk usiłował wstać, lecz głęboka rana w nodze uniemożliwiła mu to. Zdołał jedynie podnieść się do klęku. Nie zamierzałam pozwolić mu na nic więcej. Uniosłam topór oburącz, podobnie jak chwilę temu mój niedoszły zabójca chcąc uderzyć w głowę. Dzikus tego właśnie się spodziewał. Nagle skoczył desperacko próbując pchnąć w mój odsłonięty korpus. Prawie mu się udało. Na szczęście nie rzuciłam się pędem do ataku, gdyż wtedy nadziałabym się niechybnie na sztych jego broni. Zdążyłam zejść lekko w bok, a ostrze topora, zamiast w głowę, wgryzło się głęboko w wyciągnięte prawe ramię przeciwnika nieco poniżej barku.

Strizlapallończyk wydał z siebie zwierzęcy skowyt, jego oczy patrzyły obłąkańczo na nieomal odrąbaną rękę. Natychmiast wyszarpnęłam broń, brutalnym kopnięciem posłałam go z powrotem na ziemię. Dygocząc wył nieprzerwanie, ja zaś patrzyłam jak paskudna rana zalewa się krwią. Ręka spoczywała na ziemi pod nienaturalnym kątem, spomiędzy krwawego mięsa wystawał na zewnątrz kawał strzaskanej kości.

– I na cóż ci taka prawica, barbarzyńco? Żadnego Andumrianina już nią nie usieczesz. Pozwól zatem, że

cię odciążę.

Przydepnęłam jego bezwładną dłoń butem biorąc zamach. Nigdy nie zapomnę paniki w oczach Strizlapallończyka, ani czystego nienawistnego uczucia triumfu zalewającego mi wtedy serce. Tym razem ostrze przeszło gładko przez poważnie uszkodzoną już tkankę i zatrzymało się dopiero w glebie lasu. Przez moment nie mogłam oderwać oczu od chlustającej krwi. Czując jakąś nieopisaną mroczną radość kopnęłam odrąbane ramię, po czym zostawiłam zawodzącego wciąż wroga na śmierć.

Nahro leżał z dwoma strzałami w piersi. Jego twarz była spokojna, beznamiętna, taka, jaką ją znałam zawsze. Tylko szare oczy Andumrianina, nieruchomo wpatrzone w przestrzeń, utraciły pobłyskującą w nich zazwyczaj iskrę. Były matowe, nieobecne. Martwe. Uklękłam nad nim. Przesunęłam palcami po mocno umięśnionym ramieniu.

– Nahro... – szepnęłam.

Coś kapnęło na jego twarz. Dwie czerwone krople, a potem trzy kolejne. Krew. Wzdrygnęłam się. W panice dotknęłam dłonią twarzy, gdzie zahaczył upadający Strizlapallończyk. Była cała we krwi. Nie to jednak było najgorsze. Kątem oka zauważyłam, że coś dynda mi koło ramienia, jakby niesforny kosmyk włosów. Ale nie były to włosy. Szarpnęłam i mało nie wrzasnęłam od nagłego rozrywającego bólu. Poczułam się dziwnie, w głowie mi szumiało, a dźwięki otoczenia wydały się przytłumione. Pociągnęłam znów. Na otwartej dłoni spoczęło moje lewe ucho wraz z unurzanym we krwi długim strzępem skóry, na którym jeszcze słabo się trzymało po cięciu sztyletu. Przez chwilę z makabryczną fascynacją obserwowałam znalezisko.

Wstałam chwiejąc się. Powoli ruszyłam – z ociekającymi krwią ranami, w pociętych resztkach spodni – w drogę do osady, ale prawdę mówiąc było mi zupełnie obojętne dokąd szłam. W tamtej chwili jedyne, czego pragnęłam, to umrzeć.

Drogę powrotną pamiętam przez mgłę. Szłam jak we śnie, ledwie świadoma tego, co się dzieje. Gdy dotarłam do domu, było już po południu. Ktoś wybiegł mi na spotkanie, zaprowadził do chaty zielarki, czyjeś ręce zajęły się moimi ranami, inne pomogły mi umyć się w balii z deszczówką. Wokół mnie krążyło wielu ludzi, lecz, chyba z powodu szoku, nie byłam w stanie im nic powiedzieć. A oni wciąż zadawali to samo pytanie, od którego chciało mi się krzyczeć.

"Gdzie jest Nahro?!"

Następnego ranka stanęłam na polanie, gdzie zazwyczaj ćwiczyliśmy. Zawsze gadatliwi i pełni zapału młodzicy, tego dnia byli przygaszeni. Nikt się nie śmiał, nikt nie opowiadał szeptem sprośnych dowcipów. Patrzyli ze strachem, jak stałam przed nimi z zabandażowaną połową głowy. Chyba dopiero wtedy dotarło do nich, że to wszystko naprawdę. Czekała ich prawdziwa wojna, starcie z prawdziwym, wyposażonym w ostrą broń przeciwnikiem, który szczerze ich nienawidzi. Wielu może z tej wojny nie wrócić, podobnie jak nie wrócił Nahro – ich idol, wzór męstwa, który wydawał się niezwyciężony, a teraz jego truchło zjadały leśne zwierzęta.

Wybrałam dziewięciu, których uważałam za najlepiej przygotowanych. Resztę zostawiłam pod opieką Wrrudana, aby uczył ich dalej. Każdemu z moich uczniów dałam łuk wraz z kołczanem strzał, miecz, sztylet, hełm i skórzany kaftan. Żaden nie zaprotestował choćby słowem. Zabraliśmy też trochę prowiantu. Gdy zmierzaliśmy do lasu, z pobliskiej chaty nadbiegł Gemore, jeden ze starszych.

– Co ty wyprawiasz, Aromi?! – zapytał ostro.

Młodzi, uczeni od dziecka posłuszeństwa, zatrzymali się ze spuszczonym wzrokiem.

– Nie będzie żadnych wypraw bez zgody starszyzny! A już na pewno nie z młodzieńcami. Nie są gotowi do walki.

Patrzyłam hardo w poorane zmarszczkami oblicze starca.

– A kiedy będą? Może kiedy Strizlapallończycy przyjdą tu i wyrżną nas wszystkich w pień? Jak długo jeszcze zamierzacie czekać?! Wczoraj poległ nasz najlepszy wojownik, a ja własnoręcznie zabiłam trzech z tych śmierdzących brodatych bękartów puszczy. Ilu ty zabiłeś, starcze?

W grupie chłopców ktoś wydał cichy jęk. W życiu nie słyszeli, żeby ktoś miał czelność odezwać się w ten sposób do członka starszyzny.

– Jak śmiesz, kobieto!? – ryknął Gemore i wściekle rąbnął laską o ziemię.

Odpowiedziałam natychmiast, nie dając mu dojść do słowa.

– Nie pozwolę, by śmierć Nahro uszła im bezkarnie. Nie będę siedzieć z założonymi rękami, gdy ich brudne buciory depczą naszą ziemię. Uczyłam naszą młodzież zabijać i będą zabijać, aż oczyścimy Andumrię z zarazy, którą zrodziła puszcza. Jeśli nie macie dość odwagi by walczyć, siedźcie tu dalej i debatujcie, ale nie ważcie się wchodzić mi w drogę!

Odwróciłam się plecami do starca. Wiedziałam, że młodzicy posłuchają mnie, nie jego.

– Kto chce walczyć za nasz dom, za mną. Reszta, precz mi z oczu!

Gemore wrzeszczał dalej za mną, rozjuszony tak otwartym sprzeciwem, lecz ja nie zważając na to szłam przed siebie. Chłopcy wahali się tylko przez moment. Prawdopodobnie powiedziałam głośno to, co oni sami myśleli skrycie. Autorytet starszyzny tego dnia runął w ich oczach.

Tamtego ranka do lasu szli pełni obaw młodzicy. Mieli po piętnaście, szesnaście lat, jeden, który dość wcześnie wyrósł, miał czternaście. Po zachodzie słońca do osady wrócili już jako mężczyźni.

Idąc do ogniska, przy którym grzała się starszyzna, zauważyłam, jak na mój widok zrywają się z miejsc. Ciężar, który trzymałam w rękach pobrzękiwał i obijał mi się o nogi, lecz mimo to czułam dziwną lekkość. Oddychałam głęboko rześkim powietrzem patrząc na gwiazdy na bezchmurnym nocnym niebie wczesnego lata.

Starcy nic nie rzekli, zobaczyli już co niosę.

– Możecie już skończyć debaty, wasze przygotowania dobiegły końca. Nasz lud ma wreszcie mężów, którzy potrafią zabijać wrogów. Spójrz, Gemore, myliłeś się.

Stękając z wysiłku cisnęłam to, co przyniosłam ze sobą pod ich stopy, bliżej ognia, by wszyscy mogli zobaczyć.

– Są gotowi – powiedziałam odchodząc.

Dalej nikt się nie odzywał. Zgromadzeni przy ogniu starsi mężczyźni ze zgrozą patrzyli na siedem brodatych głów rzucających złowrogie cienie w świetle buzujących płomieni. Niektóre wciąż miały na sobie hełmy.

Wrrudan przyszedł do mojej chaty, jeszcze nim zdążyłam położyć się do snu.

– Aromi, pozwól na chwilę... – rzekł. Minę miał strapioną.

Wyszłam za nim odprowadzana niepewnymi spojrzeniami mieszkających ze mną wdów.

– Co to miało być?! – zapytał bez ogródek, bardziej zaniepokojony, niż rozgniewany.

– Początek tego, co powinno być zrobione dawno temu – odparłam hardo.

– Jak mogłaś... nasz lud nie znał do tej pory takiego barbarzyństwa.

– Och, czyżby Gemore okazał się tak wrażliwy na widok krwi?

Twarz Wrrudana stężała.

– Nie o tym mówię – wycedził. – Rozmawiałem z młodymi. Jak mogłaś kazać naszym chłopcom, by obcinali pokonanym głowy? Do czego to podobne?!

– Czyżbyś zapomniał czyje to głowy? Dopóki serce bije mi w piersi, będę się starała, by żadna Strizlapallońska głowa, którą zobaczę, nie ostała się na karku! To już nie są chłopcy, Wrrudan, dziś stali się dzielnymi wojownikami Andumrii. Wystrzelali z łuków tych brodatych łachmaniarzy, a potem przynieśli ich zawszone łby na dowód swego męstwa. I przyniosą więcej. Przysięgam ci, że krew bękartów puszczy będzie od tego dnia płynąć szerokim strumieniem, aż ostatni z nich nie wróci tam, skąd przyszedł!

Wojownik patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Co się z tobą stało, Aromi?

– Co się stało z wami?! – odwarknęłam mu prosto w twarz. – Jak śmiesz mnie pouczać, gdy samemu nie kiwniesz nawet palcem, by odzyskać nasze ziemie? Zejdź mi z oczu!

Obróciwszy się na pięcie, zostawiłam go samego.

Długo nie mogłam zasnąć tamtej nocy. Żałowałam wykrzyczanych słów, Wrrudan nie zasługiwał na takie potraktowanie. Co najgorsze, pomyślałam gdy mój gniew wreszcie się wypalił, wojownik mógł mieć rację.

Oburzenie Wrrudana podzieliło wielu Andumrian, lecz część wojowników stanęła po mojej stronie. Ci, którzy podobnie, jak ja pragnęli ruszać do czynu, także chwycili za broń. Wkrótce powstały kolejne oddziały polujące na Strizlapallończyków. Nie podejmowaliśmy otwartej walki, o wiele skuteczniejsze były błyskawiczne ataki z zasadzek na nieliczne grupy wroga i szybkie wycofanie się. W krótkim czasie przetrzebiliśmy nieco szeregi dzikusów, przez co stali się bardziej ostrożni. Nikt już tak beztrosko nie pałętał

się po naszych lasach, jak ci, co zabili Nahro.

Ku wściekłości starszyzny, zachęceni sukcesami przyłączali się do nas kolejni wojowie. Wśród nich, co mnie zdumiało, był także Baruf. Już nie tak wielu popierało Gemore i innych starszych, którzy dalej postulowali przygotowania do długiej kampanii. Gdy oni strzępili języki, my tymczasem wbiliśmy żądło strachu w nieznające go dotychczas serca Strizlapallończyków. Młodzi wojownicy Andumrii zdobyli bojowe doświadczenie, ich strzały nie oszczędzały nikogo. Czerpali siłę z zemsty. Za każdym razem puszczając napiętą cięciwę widzieli w swym celu mordercę nauczyciela, którego tak podziwiali.

Brodaci najeźdźcy utracili pewność siebie. Idąc nad strumień, czy na polowanie rozglądali się lękliwie, czy aby z pobliskich krzaków nie mierzy już do nich andumriański łuk. Słusznie, bo często tam właśnie czekaliśmy. Zadawane wrogowi straty zachęciły nas do dalszych działań. Nadszedł czas, by prawowici właściciele odzyskali swe ziemie.

Po lecie nadeszła chłodna jesień. Od czasu mojej pierwszej wyprawy blisko sześćdziesięciu brodatych gryzło leśną ziemię, naszych zginęło tylko trzech. Po naradach uznaliśmy wspólnie, że atak musi nastąpić przed nadejściem zimy, co da nam czas, by do pierwszych wiosennych roztopów umocnić się na zdobytych terenach. Najpierw mieliśmy wyruszyć na Galonvale, osadę najbardziej wysuniętą na południe, największą i zarazem najmocniej bronioną. Osadę, w której wciąż stał mój dom.

Liczyliśmy, że gdy odniesiemy tam zwycięstwo, pozostali nieprzekonani pójdą za nami. Następnie odbijemy pozostałe trzy mniejsze osiedla, co ze wsparciem reszty wojów nie powinno stanowić problemu. Wyparci Strizlapallończycy nie zdołają szybko przeprowadzić kontrataku. Z pewnością nie mają zgromadzonych aż tylu zapasów, by prowadzić regularną wojnę, a te, które zgromadzili nad brzegami Andumrii, przejmiemy my. Do wiosny zatem będziemy mieli czas na przygotowania.

Na Galonvale składało się ponad trzydzieści drewnianych chat krytych słomą, do tego zagrody dla zwierząt, spichlerze, kuźnia i młyn nad rzeką. Osada nie była otoczona palisadą. Nigdy nie było takiej potrzeby, a Strizlapallończycy najwyraźniej także jej nie odczuwali. Teren z zabudowaniami lekko się wznosił. Od wschodu dostępu bronił sosnowy zagajnik pokrywający łagodne wzniesienie, które po zachodniej stronie opadało ku płynącej Andumrii. Galonvale przecinał biegnący z północy na południe szlak; to nim właśnie nadeszli najeźdźcy, a my uciekaliśmy do naszych południowych ziem.

Wraz z moimi sojusznikami doszliśmy do wniosku, że wrogowie najbardziej spodziewali się nas z południa, o ile oczywiście rozważali jakikolwiek atak z naszej strony. Zdecydowaliśmy zatem wysłać tam niewielkie siły, które, zwróciwszy na siebie uwagę, szybko się wycofają. W tym czasie ukryci w lasku po wschodniej stronie łucznicy rozpoczną ostrzał, a główne uderzenie nadejdzie z północy. Tak oto rysował się nasz plan. Gdy ostatnie liście spadły z drzew, przystąpiliśmy do jego realizacji.

Dzień bitwy nadszedł zimny i pochmurny. Już od jakiegoś czasu nasi zwiadowcy obserwowali Galonvale, a w ich doniesieniach znalazłam potwierdzenie moich przypuszczeń. Strizlapallończycy nie spodziewali się ataku. Nocna straż nie była liczna, ani szczególnie czujna, nie zauważono też żadnych prób fortyfikowania osady. Pomimo poniesionych od naszych strzał ofiar byli wciąż pewni siebie. Nauczyli się ostrożności w lesie, w grupie jednak nie czuli strachu. Od samego początku mieli nas za tchórzy, a łatwe zwycięstwo rozbudziło w nich pychę. Tej nocy doprowadzi ich ona do zguby.

Maszerowaliśmy w ciszy, skupieni, by nic nie zdradziło naszej obecności i nie zaalarmowało strażników osady. Byłam w grupie uderzeniowej, na nas spoczywał ciężar stoczenia decydującej bitwy. Od zeszłego

wieczoru ukrywaliśmy się w lesie na północy obserwując osadę z położonego nieco wyżej terenu. Dziś, po zapadnięciu zmroku, łucznicy zakradli się do zagajnika, a kilku z nich miało zaatakować od południa. Wysłaliśmy im posłańca, by dali nam jeszcze trochę czasu na zajęcie pozycji, a potem ruszali.

Księżyc słabo świecił zza chmur, szliśmy w niemal całkowitych ciemnościach. To był najgorszy moment, od osady dzielił nas północny szlak idący wzdłuż rzeki. Gdyby ktoś nas zauważył i odpowiednio wcześnie zaalarmował strizlapallońskich wojów, nie mielibyśmy szans, bowiem od wschodu blokowało nam drogę wzniesienie pokryte gęstym lasem. Między nim, a płynącą rzeką utworzył się jakby "korytarz", który trzeba było pokonać, by dotrzeć do Galonvale. Rozszerzał się on dopiero jakieś trzydzieści metrów od osady. Zaatakowani w tak trudnym do obrony miejscu, niechybnie ponieślibyśmy klęskę.

Póki co żaden ostrzegawczy krzyk nie mącił jednak nocnej ciszy. Szliśmy ostrożnie, ubrani w kolczugi i hełmy, a także grube płaszcze i buty chroniące przed coraz bardziej przeszywającym chłodem. Przed nami majaczyły coraz bliższe światła Galonvale – kilka pochodni oraz ognisko, przy którym grzała się nieliczna straż. Chroniona kolczą rękawicą dłoń drżała mi zaciskając się na rękojeści miecza. Po latach wracamy do domu, pomyślałam.

Czułam ogromną ulgę, gdy wreszcie opuszczaliśmy zdradziecki "korytarz". Czekaliśmy kilkanaście metrów od miejsca, gdzie teren zaczynał się wznosić, schowawszy broń, by jakiś zabłąkany refleks księżycowego światła nie ujawnił naszej obecności. Na tle blasku bijącego od ogniska widoczne już były kontury chat. W milczącej grupie wyczuwałam pełne napięcia podniecenie przed walką, uczucie niedające porównać się z niczym innym. Wojownicy Andumrii byli gotowi zabijać, po tej nocy nikt nie będzie miał co do tego wątpliwości, pomyślałam.

Drżałam z niecierpliwości, ekscytacji, obawy. Czas zdawał się wlec niemiłosiernie.

– Chyba nic mu się nie stało? Wyruszył już tak dawno – szepnęłam.

Charsmun natychmiast mnie uciszył. To jemu powierzyliśmy dowodzenie w czasie bitwy. Był prawdopodobnie równie doświadczonym wojownikiem, co Nahro, choć ustępował mu znacznie budową ciała. Braki w sile fizycznej wcale mu jednak nie przeszkadzały, obaj mężowie w treningowych pojedynkach prezentowali podobne umiejętności. Różnili się też charakterami: Charsmun, w przeciwieństwie do milczącego Nahro, był gadułą o pogodnym usposobieniu. Teraz jednak wyraz jego twarzy był zacięty.

– Milcz, Aromi. Czekamy na sygnał zgodnie z planem.

Czekaliśmy zatem. Zdawało mi się, że widzę kogoś grzejącego się przy ogniu, a moich uszu dobiegają głosy, lecz mógł to być tylko szum wiatru. Cisza i bezruch szarpały mi nerwy, o niczym tak nie marzyłam, jak ruszyć już do bitwy, choć skłamałabym mówiąc, że się nie bałam. To nie był strzał z ukrycia do nieświadomej ofiary w lesie, czekała nas prawdziwa walka twarzą w twarz. Część z nas może z niej nie wrócić. Być może będę to ja, pomyślałam.

Właśnie wtedy bojowy okrzyk przeszył chłodne powietrze nocy. Kilka niewyraźnych sylwetek natychmiast zerwało się z miejsc wokół ogniska.

– Naprzód! – zawołał Charsmun dobywając miecza.

Pobiegliśmy w szyku, zgodnie z planem. Ledwo wkroczyliśmy między chaty, pochłonęło mnie bitewne

zamieszanie. Noc rozbrzmiewała dziesiątkami krzyków i pobrzękiwań rynsztunku, blask ogniska rzucał wokoło długie cienie. Spieszyliśmy odciąć drogę strażnikom, którzy ruszyli za południową grupą.

Ledwo rozróżniałam wykrzykiwane słowa, szum szalejącej krwi zagłuszał niemal wszystko. Nagle drzwi pobliskiej chaty otworzyły się gwałtownie. Wysoki, w połowie tylko ubrany Strizlapallończyk wyskoczył z mroku najwyraźniej wyrwany ze snu przez hałas. Zdążył tylko rozejrzeć się z niedowierzaniem na twarzy, gdy, nie wiadomo skąd, w brzuch i gardło trafiły go trzy strzały. Chwilę potem zauważyłam martwego strażnika z kilkoma drzewcami sterczącymi z ciała.

Na południowym krańcu osady dzielni Andumrianie zbici się w ciasną grupę dawali odpór otaczającym ich strażnikom. Spadliśmy na nich niczym lawina. Pędzący obok mnie Charsmun z wrzaskiem rąbnął najbliższego wroga tarczą, a gdy ten runął na ziemię, wykończył ciosem miecza. Krzyki, biegający dookoła ludzie, szczęk broni, wszystko to zlało się w bitewny chaos. Nieopodal jeden z młodszych – Nabris, mój wychowanek – przerażony zastawiał się tarczą przed furiackim atakiem brodacza z trzymanym oburącz mieczem. Próbował kontratakować, lecz barbarzyńca uniemożliwiał mu to bijąc jak wściekły. Rozpędzona wpadłam na Strizlapallończyka, a sztych miecza zagłębił się w jego ciało tak łatwo, jakby przeszył dym. Mężczyzna zawył zaskoczony. Nabris natychmiast potężnie ciął go z góry, aż poczułam na twarzy deszcz krwi z rozrąbanej czaszki wroga. Kilka sekund po tym, jak padł, wszyscy strażnicy także leżeli martwi.

Nowi mieszkańcy Galonvale zbudzeni bitewnym zgiełkiem wybiegali z naszych zagarniętych przemocą domów, lecz ginęli szybko. Łucznicy, którzy właśnie wychodzili z zagajnika zbierali śmiertelne żniwo. Usmarowany krwią Charsmun wykrzykiwał rozkazy.

– Przeszukać wszystkie chaty. Kobiety i dzieci brać jako jeńców. Grupa południowa niech idzie sprawdzić młyn. Naprzód! – zakończył.

Potem wszyscy rozbiegli się po osadzie.

Przy moim dawnym domu trwała zacięta potyczka. Masywny Strizlapallończyk fechtował biegle, lecz szybko uległ dwóm młodym wojownikom. Powaliwszy go, jeszcze przez chwilę pastwili się w szale nad jego ciałem.

Już miałam wejść do chaty, gdy coś świsnęło mi tuż nad głową. Wbita w drewnianą belkę strzała drżała wytracając energię. Bez namysłu rzuciłam się w bok, tarczą osłoniłam korpus. Gorączkowo rozglądałam się za napastnikiem, lecz w mroku dokoła nie dostrzegałam nikogo. Wtedy padł kolejny strzał. Zza osłony tarczy ujrzałam przebijający ją stalowy grot. Równocześnie na tle poświaty z ogniska ukazała się sylwetka napastnika. Skoczyłam do biegu rzucając się na boki. Kolejna strzała minęła mnie pędząc w nocnym powietrzu. Potem Strizlapallończyk wyciągnął z pochwy miecz.

Łopocząc długim płaszczem uskoczył przed moją szarżą; dobrze, że zdołałam utrzymać równowagę, gdyż nie czekając ani chwili zaraz ciął ukośnie mierząc w obojczyk. Przyjęłam cios na tarczę, choć jego siła zakołysała mną. Szybkie pchnięcie minęło jego brzuch o centymetry, zbił lekko moje ostrze i kontratakował. Uderzenie spadło na moje odsłonięte prawe ramię, które na szczęście chronione było rękawem kolczugi. Wybiwszy dziurę w mej obronie próbował ciąć na głowę. Nie miałam wyboru, musiałam odskoczyć w tył, by się ratować, choć Nahro zawsze przestrzegał mnie, bym nie oddawała inicjatywy w walce.

Strizlapallończyk ruszył rozochocony. Z wrzaskiem zaatakował serią cięć wyprowadzanych z mocnego zamachu. Bił z obu stron, w różnych płaszczyznach; gdy tylko moja tarcza odsłoniła kawałek ciała, jego klinga już tam była. Choć nie miał tarczy, ani zbroi, to on czuł się pewniej w tym pojedynku. Znacznie większy i silniejszy napierał z furią, jego oręż świszczał złowrogo, a ja nie potrafiłam zrobić nic poza cofaniem się i zbieraniem razów na blok.

W tym śmiertelnym tańcu wróciliśmy pod chatę. Barbarzyńca pokrzykiwał przy każdym uderzeniu wkładając w nie całą siłę. Czułam ją płynącą przez obolałe ramię, wiedziałam że jeszcze chwila i nie będę w stanie dalej się bronić. Poczekałam na kolejny zamach, a wtedy skróciłam dystans. Skoczyłam dynamicznie zastawiając jego prawe ramię, jednocześnie rąbnęłam brodatą twarz opancerzoną pięścią. Mężczyzna zatoczył się w tył, był odsłonięty. Bezzwłocznie cięłam wyciągniętym po ciosie ramieniem, lecz ostrze zamiast na głowę, spadło na klatkę piersiową wroga. Choć ukośne cięcie rozorało mu ciało, nie pozostawał mi dłużny. Gdy nie odzyskałam jeszcze równowagi po zadanym ciosie, zamachnął się poziomo. Jego miecz przejechał po krawędzi tarczy i zawadził o mój hełm. Przekręciłam dłoń do uderzenia od dołu, byłam pewna, że tym razem trafię. Niestety, Strizlapallończyk przechytrzył mnie. Zauważył mój zamiar, pozwolił wyprowadzić atak, cofnął jednakże ciało poza jego zasięg. Po swoim poziomym cięciu zręcznie zakręcił uniesionym mieczem i uderzył w tył mojego ostrza, które właśnie przepuścił. Oręż wypadł mi z dłoni.

Brodacz uśmiechnął się nienawistnie. Przez sekundę patrzyłam w jego oczy, a jedynym co w nich dostrzegłam była moja nadchodząca śmierć. Potem miecz zaczął spadać raz za razem. Zatoczyłam się pod gradem ciosów do samych drzwi domu. Na moment przywarłam do nich plecami, a potem wpadliśmy bezwładnie do środka – ja, desperacko się broniąc, Strizlapallończyk atakując z coraz większą furią.

W izbie panował mrok, zaledwie odrobina światła wpadała otwartymi drzwiami, lekki blask bił od dogasającego ognia w palenisku. Nie przeszkadzało mi to. To był w końcu mój dom i znałam w nim każdy kąt. Oparłam się plecami o stół usiłując uniknąć trafienia oraz wyszarpnąć z pochwy przy pasie sztylet. Barbarzyńca widząc, że siłą nie może mnie przemóc, zastosował podstęp. Zamarkował cios w dolne partie ciała, a gdy opuściłam tarczę znienacka wyprowadził cięcie w głowę. Ciężka klinga spadła pod lekkim skosem z potworną siłą. Szyszak ocalił mi życie, lecz uderzenie zdmuchnęło go z mojej głowy. Zachwiałam się, izba zawirowała mi przed oczami. Barbarzyńca zakręcił mieczem wznosząc go do ostatecznego ciosu.

– Tatusiu! – zapiszczał nagle jakiś głosik z końca izby.

Wcześniej, zajęta walką o życie, nie dostrzegłam ich. Kobieta z dzieckiem tulili się do siebie w ciemnym kącie. Nawet pomimo mroku można było dostrzec, jak drżą. Strizlapallończyk także popatrzył w ich stronę. To był jego ostatni błąd. Gdy na pół sekundy stracił koncentrację natychmiast uderzyłam tarczą w jego zranioną klatkę piersiową. Ostrze barbarzyńcy opadło, lecz, zamiast rozłupać mi czaszkę, ześliznęło się po moim wyciągniętym ramieniu. Trafiony mężczyzna ryknął z bólu cofając się, a ja podążyłam za nim. Przywarłam do niego, tak by nie mógł zrobić użytku z miecza, równocześnie dobyłam sztyletu. Role się odwróciły, teraz to ja napierałam. Z hukiem wpadliśmy na ścianę. Okutą krawędź tarczy dociskałam do jego rannej piersi, drugą ręką usiłowałam wbić sztylet. Przechwycił moją dłoń i tak, stękając z wysiłku, zwarliśmy się w klinczu. Barbarzyńca zaciskał zęby.

– Tatusiu! – zawołało znów dziecko.

– Uciekajcie stąd! – wysapał w odpowiedzi Strizlapallończyk.

Wściekłość dodała mi sił. Z wrzaskiem wbiłam kolano w odsłonięte podbrzusze dzikusa, co przełamało jego opór. Sztylet wszedł aż po rękojeść.

– Nie! – krzyknęła kobieta, ale nie dbałam o to.

Wpatrzona w oczy mojego wroga raz za razem dźgałam ostrym sztychem. Puścił moją rękę, jego ciało zadygotało. Po raz ostatni wyszarpnęłam broń, patrząc jak osuwa się na ziemię.

Szybkie kroki i dostrzeżony kątem oka ruch zaalarmowały mnie. Odruchowo uniosłam tarczę blokując cios. Kobieta ruszyła na mnie z nożem, lecz nie zdołała zaatakować ponownie. Uderzenie pięścią w stalowej rękawicy rzuciło ją na ziemię jak szmacianą lalkę. Była słabą niezdarną kobietą, podobnie jak ja przed laty; nie miała żadnych szans w takim starciu.

– Nie rób mamie krzywdy!

W ślad za piskliwym głosikiem z cienia wyłonił się chłopiec. Stał przede mną dygocząc, miał może z osiem, dziewięć lat.

– Proszę, zostaw nas w spokoju – wyszeptał.

Nie sposób było odmówić mu odwagi.

– Chcesz być wojownikiem, chłopcze? Chcesz nas zabijać, jak dorośniesz? – spytałam.

Kobieta leżała na brzuchu dochodząc do siebie. Była drobna i szczupła, miała piękne długie włosy. Zabawne, pomyślałam, pierwszy raz dane mi było zobaczyć Strizlapallonkę.

– Jeśli w przyszłości zamierzasz zabić wielu Andumrian, powinieneś uczyć się już teraz. Pozwól, że ci pokażę, jak to się robi.

Przyklęknęłam i brutalnie szarpnęłam kobietę za włosy.

– Durqul, uciekaj! – zdążyła jeszcze zawołać nim poderżnęłam jej gardło.

Jęknęła głośno, głos zabrzmiał dziwnie z przeciętej krtani, a krew popłynęła obficie.

– A teraz, Durqul, spójrz, co jeszcze robicie wy, barbarzyńcy. Co zrobiliście mnie.

Sztylet był bardzo dobrze naostrzony. Wystarczył lekki ruch nadgarstka, by lśniące ostrze z łatwością odcięło lewe ucho umierającej kobiety. Podobnie uczyniłam Strizlapallończykowi, który siedział martwy pod ścianą w dziwnej pozycji. Następnie rzuciłam makabryczne trofeum pod stopy dziecka.

– Patrz i ucz się, Durqul!

Wtedy dzieciak zaskoczył mnie. Byłam przekonana, że na ten widok ucieknie w kąt, będzie próbował się ukryć, ratować życie, bądź po prostu skamienieje ze strachu. Chłopiec nie zrobił tego. Wrzasnął piskliwie, zacisnął drobne piąstki i rzucił się na mnie.

– Nienawidzę cię! – krzyczał bijąc mnie po nogach i chronionym kolczugą korpusie – Nienawidzę was

wszystkich!

Bez wysiłku powaliłam go na ziemię wznosząc sztylet do ciosu.

– Aromi! – usłyszałam nagle za plecami znajomy głos.

Charsmun zaglądał do wnętrza izby. Wyraz jego twarzy powiedział mi wszystko. Przez chwilę spojrzałam na siebie jego oczami, na moje ubabrane krwią oblicze pełne szaleństwa. Opuściłam rękę, schowałam broń. Walka była skończona.

Odzyskaliśmy Galonvale. Trupy były wszędzie. Idąc przez osadę widziałam mnóstwo pociętych ostrzami i przebitych strzałami ciał. Szczęk stali umilkł, wróciła nocna cisza. Gdy oddział południowy wrócił z młyna, Charsmun zarządził zbiórkę. Wyznaczył kilka osób, by sprawdziły, czy ktoś z obrońców przeżył, innym kazał zająć się jeńcami oraz naszymi rannymi. Rozstawił warty dookoła osady. Wysłał także posłańca z wiadomością do starszyzny.

Krzątanina kończyła się wraz z nadejściem pierwszych nieśmiałych promieni słońca. Wstawał pierwszy świt po zwycięstwie. Niestety nie doczekało go sześciu spośród nas. Dwóch było poważnie rannych. Strizlapallończyków zginęło czterdziestu siedmiu, do niewoli wzięto pięćdziesięcioro kobiet i dzieci. Trzech mężczyzn, którzy przeżyli atak, dobito.

Blada twarz Charsmuna, choć opłukana została już z krwi i kurzu, nosiła oznaki zmęczenia. Uśmiechnął się lekko na mój widok.

– Oto jesteśmy w domu, Aromi. Nareszcie.

Skinęłam mu głową.

– Przyjdą tu i to wkrótce. Z pewnością słyszeli odgłosy bitwy. Może nawet ktoś wymknął się w zamieszaniu i pobiegł ostrzec pozostałe osady. Każę wysłać zwiad.

– Masz słuszność. Tymczasem odpocznijmy, musimy teraz czekać na odpowiedź starszyzny – odrzekłam.

Zgodnie z rozkazem, kilku młodszych wojowników udało się, by ze wzniesienia nad północnym szlakiem obserwować okolicę. Wysłano także inną grupę na wschód. Następnie Charsmun nakazał tym, którzy byli najmniej zmęczeni palić zwłoki. Nie było czasu na pochówki, choć wygraliśmy bitwę, z pewnością czekały nas kolejne.

Odpoczywaliśmy na zmianę, by każdy miał szansę zaspokoić głód i się przespać. Na zmianę też trzymaliśmy warty oraz pilnowaliśmy jeńców stłoczonych w czterech chatach. Niektórzy nasi wojowie gniewnie szeptali po kątach, by się ich pozbyć, lecz Charsmun surowo tego zakazał.

Nastroje były bardzo dobre. Przechadzając się po osadzie co rusz napotykałam przyjacielskie uśmiechy i poklepywanie po ramieniu. Zyskałam szacunek mężczyzn, ale oczywiście ani na moment nie zapominali kim jestem. Nagle zauważyłam jakieś zbiegowisko przy zachodnim krańcu. To w tamtejszych chatach trzymaliśmy pojmane kobiety i dzieci. Wyznaczeni wartownicy – młodzi, żeby bardziej doświadczonych nie obciążać tym niezbyt wymagającym zadaniem – zamiast pilnować stali zbici w grupkę i pochylali się nad czymś.

– Co tu się dzieje?! Dowódca dał wam zadanie do wykonania! – warknęłam.

Czterech chłopaków rozejrzało się lękliwie na dźwięk reprymendy, a zauważywszy mnie co prędzej wrócili na swoje posterunki. Natychmiast poczęli też przeganiać strizlapallońskie kobiety, które obserwowały okolicę stojąc w drzwiach chat.

– Wybacz, Aromi, chcieliśmy tylko zobaczyć co to jest. Proszę, nie mów Charsmunowi – odezwał się nieśmiało jeden z nich.

W miejscu, gdzie przed chwilą stali zobaczyłam ułożony z kamieni krąg o średnicy może dwóch metrów. Wewnątrz trawa była wypalona, natomiast w samym centrum okręgu stała jakaś dziwaczna konstrukcja. Jej trzon stanowił wyrastający z ziemi około metrowy drewniany palik. Wisiały na nim przywiązane sznurkiem z koralikami pożółkłe kości, cienkie metalowe obręcze, kawałki kory z jakimiś podłużnymi liśćmi, a także długie kolorowe pióra. Pierwszy raz widziałam takie, a przecież, jako osobie doświadczonej w polowaniach, znane mi było wszelkie występujące na tych ziemiach ptactwo. Zwieńczenie konstrukcji stanowiła gładka, najwyraźniej dość stara, wyschnięta czaszka pozbawiona żuchwy. Wyglądała na ludzką, choć, ze względu na rozmiary, musiała należeć do dość młodej osoby. Wszystko to pobrzękiwało lekko na wietrze, co jeszcze bardziej potęgowało niepokojące wrażenie. Zauważyłam coś jeszcze. Palik tu i ówdzie zdobiły wycięte na nim tajemnicze symbole, zaś ich większe wersje wyrysowano na zeschniętej ziemi wewnątrz kręgu.

– Ruszaliście tu coś? – zapytałam chłopaka.

– A skąd! W życiu bym tego nie dotknął. Tylko patrzyliśmy. Przepraszam, byliśmy ciekawi.

Nie miałam pojęcia czym był zagadkowy obiekt. Tak na prawdę, pomimo że walczyliśmy już dość długo, niewiele wiedzieliśmy o zwyczajach Strizlapallończyków. Być może nie miało to wielkiego znaczenia, ale Charsmun powinien się o tym dowiedzieć, uznałam.

Wróciłam do centrum osady, gdzie ostatnio rozmawialiśmy, lecz nigdzie nie było naszego dowódcy.

– Szukasz Charsmuna? – zagadnął spieszący gdzieś wojownik.

– Tak. Widziałeś go?

– Poszedł się zdrzemnąć do chaty Gholego, póki jest trochę spokoju. Mówił, żeby go obudzić, gdyby coś się działo.

Pomyślałam chwilę.

– Niech odpocznie. To może poczekać.

Przechadzałam się dalej wśród chat. Na południowym zachodzie u stóp wzniesienia dostrzegłam unoszący się dym. Kilku Andumrian, zebrawszy na sporą stertę, paliło tam ciała zabitych. Oczywiście nie naszych; bohaterom Andumrii wyprawiono na razie skromny pochówek na cmentarzu za młynem. Później przyjdzie czas, by godnie uczcić ich pamięć. Strizlapallońskie trupy czekała zaś tylko oliwa i żagiew.

Powinnam wziąć przykład z Charsmuna i odpocząć, póki sytuacja pozwala, pomyślałam. Tajemnicze znalezisko nie dawało mi jednakże spokoju. Jaki cel mogło mieć stawianie tak paskudnego tworu? Nogi

same poniosły mnie znów do zachodniej części osady. Tam stanęłam jak wryta, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Młodzieniec, z którym rozmawiałam wrócił co prawda na wyznaczone do pilnowania miejsce, ale to, co tam robił rozgniewało mnie dużo bardziej niż wcześniejsze lekceważenie obowiązków. Nie był bowiem sam. U jego boku stała oparta o ścianę chaty młoda strizlapallońska dziewczyna. Byli pogrążeni w rozmowie, wpatrzeni w siebie, uśmiechnięci, rozbawieni. Nawet nie usłyszeli moich kroków.

Pierwsza zauważyła mnie ona. Przestała chichotać, jej uśmiech zniknął, a spojrzenie z twarzy chłopaka powędrowało na ziemię. Była piękna, przyznałam w myślach. Miała długie kręcone włosy czarne jak pochmurna noc. Jej skóra była gładka, zbrązowiała od słońca, oczy wielkie i ciemne. Nosiła ciepły płaszcz wiszący na szczupłym ciele. Zauważywszy konsternację towarzyszki, młody wojownik odwrócił się i zbladł, kiedy mnie dostrzegł.

– Aromi, my... my tylko... – jąkał się, lecz nie zwróciłam na niego uwagi.

Idąc szybkim krokiem patrzyłam na przestraszoną dziewczęcą twarz, lecz nie widziałam jej. Przed oczami stało mi inne oblicze wpatrzone nieruchomo swoimi martwymi szarymi oczami w las, w którym pozostanie już na zawsze.

Dygocząca od niekontrolowanej wściekłości dłoń poruszała się sama. Sama chwyciła przerażoną Strizlapallonkę za gardło i docisnęła do ściany. Dziewczyna wybałuszyła na mnie oczy.

– Proszę, nie... – wymamrotała w panice bezbarwnymi wargami.

Szelest wyciąganego z pochwy sztyletu zabrzmiał krótko i złowieszczo.

– Aromi, co...

W chwili, gdy wybrzmiał zdumiony jęk młodego Andumrianina, ostrze łatwo przebiło niestanowiący żadnej ochrony płaszcz. Pchnęłam tylko raz, prosto w serce. Wargi dziewczyny zadrżały wydając ciche bolesne westchnienie. Wpatrzone we mnie błagalnie oczy zrobiły się jeszcze większe, a potem spojrzały w niebo jakby wznosząc niemą skargę na niesprawiedliwą karę. Wyszarpnęłam sztylet, a ciało zwiotczało natychmiast. Obserwowałam jak zsuwa się po ścianie na ziemię. Potem czerń dużych oczu zastygła w wyrazie zdumienia.

Chłopak był wstrząśnięty. On i jego towarzysze będący świadkami tej sceny zamarli ze zgrozy. Ja zaś odwróciłam się do niego. Nie spuszczając wzroku z jego oblicza wytarłam zakrwawione ostrze w jego opończę.

– No, co tak stoisz? Zanieś to strizlapallońskie ścierwo do spalenia, gdzie jego miejsce. Koledzy popilnują jeńców za ciebie.

Twarz chłopaka nabrała dzikiego wyrazu, ale szybko się opanował. Wiedział, że wystarczył najmniejszy protest, a stal przebiłaby i jego serce.

Ostrze jednak nasyciło się już krwią i wróciło do pochwy. Popatrzywszy po raz ostatni po bladych twarzach młodzieńców, odeszłam w pełnej napięcia ciszy.

Chwilowy spokój w osadzie trwał. Póki co nie było odpowiedzi ze strony Strizlapallończyków. Za to popołudniem przybyły dobre wieści: wraz z powracającym posłańcem dołączyło do nas jeszcze czterdziestu wojowników. Zgodnie z moimi przewidywaniami zwycięstwo rozbudziło ich wolę walki. Słowa starszyzny straciły całkiem swą moc; los Andumrian był teraz w naszych rękach, a czas na pierwsze decyzje nadszedł niemal natychmiast. Może godzinę po nadejściu wsparcia, z północy nadbiegł jeden ze zwiadowców.

– Nadchodzą... – wysapał zziajany – Są ich dziesiątki... może nawet dwie setki... Strizlapallończycy idą traktem... z północy.

– Mamy niewiele czasu, nim tu dotrą. Ogłosić mobilizację, niech wszyscy gotują się do bitwy – rozkazał Charsmun.

– Co zamierzasz? – zapytałam.

– Zajmiemy pozycję tu, na wzgórzu. Zaatakujemy, gdy podejdą pod osadę, a łucznicy będą ostrzeliwać z góry.

– Mają przewagę liczebną, nie możemy podjąć otwartej walki.

– A co innego nam pozostaje? Czas zasadzek w lesie dobiegł końca, Aromi, wszyscy wiedzieliśmy po co tu idziemy. Ta bitwa rozstrzygnie kto będzie władał ziemiami nad Andumrią.

– Niewątpliwie. Wcale nie mówię, że mamy uciekać. Strizlapallończycy są silniejsi, a dziś będą walczyć z jeszcze większą furią. Jest ich więcej, są wypoczęci. Nie sprostamy im na otwartym polu. Mam jednak pewien pomysł...

Przedstawiłam Charsmunowi mój plan. Wysłuchał mnie, lecz nie wydawał się przekonany.

– To ryzykowne – stwierdził – jeśli przejrzą podstęp, zdziesiątkują nas.

Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, poparł mnie Baruf.

– Nie przejrzą. Nie znasz ich? Gniew ich zaślepia, a nas, mimo utraty Galonvale, mają wciąż za słabeuszy. Pewni, że ich atak nas zmiażdży, rzucą się do walki jak wściekłe psy.

Inni wojownicy także przychylili się do przedstawionego pomysłu, ośmieleni wystąpieniem mojego byłego męża. Przecież byłam tylko kobietą, może i władającą mieczem, ale wciąż kobietą. Charsmun najwyraźniej też miał z tym problem, o czym świadczyło jego wahanie. Widząc to zamilkłam, musiał sam podjąć decyzję.

– Staniecie w pierwszej linii – rzekł w końcu wskazawszy na kilku najbardziej rosłych spośród naszych wojów. – Musicie przyjąć impet ataku. Za wami staną...

Przygotowania ruszyły pełną parą. Jeśli miało nam się udać, musieliśmy szybko rozstawić siły. Charsmun, już przekonany, bezustannie wykrzykiwał rozkazy oraz upewniał się, czy każdy wie, co ma robić. Znów zapanowała napięta atmosfera wyczekiwania, choć morale było wysokie po odniesionym zwycięstwie, czego nie zburzyła nawet wieść o liczebności wroga. Dobry dowódca umiał podtrzymać ducha i Charsmun wywiązał się z tego zadania. Gdy nadszedł czas ruszać w bój, wszyscy byli gotowi do

walki.

– Aromi, ja... – zaczął podchodząc do mnie nieco zmieszany.

– Nie trzeba, wiem – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Gdzie będziesz?

– Chwycę za łuk, jak zawsze. W zwarciu na nic wam się nie przydam.

Charsmun skinął głową.

– Powodzenia – rzekł, po czym dał rozkaz wymarszu.

Łucznikami dowodził Geumaell, siwiejący już mężczyzna o orlim wzroku. Ze względu na wiek w bezpośrednim starciu ustępował pola młodszym wojownikom, ale wciąż był znakomitym strzelcem oraz posiadał bogate doświadczenie. Było tu sporo innych mężów odznaczających się celnym okiem, a także cały mój młody oddział, który zabił tak wielu barbarzyńców w zasadzkach.

Nadchodził wieczór. Słońce chyliło się z wolna ku zachodowi, a wraz z ciemnością nadchodziło kłujące zimno. Kuliliśmy się ukryci wśród drzew. Starałam się utrzymać dłonie w cieple, by ich zdrętwienie nie zawiodło mnie w czasie bitwy. Staliśmy rozstawieni w pewnej odległości i na różnych wysokościach zalesionego wzgórza. Najbliżej mnie kryło się dwóch moich dawnych podopiecznych: Nabris i Huo; dobrze ich wychowałam. Stali czujni, nie rozpraszając się rozmowami, w oczekiwaniu na pojawienie się wroga.

Co jakiś czas spoglądałam na kucającego nieco wyżej Geumaella. Wytężał wzrok, gdyż ze swej pozycji miał lepszy widok na północny szlak. Poniżej naszego wzgórza przebiegał ów "korytarz", którym podążaliśmy wczoraj – niebezpieczne wąskie gardło wiodące do Galonvale. Kilka metrów dalej spokojnie płynęły wody Andumrii.

W pewnym momencie mężczyzna zmarszczył brwi. Uniósł do mnie dłoń w umówionym znaku, a ja podałam wiadomość dalej. Chwilę później w kierunku osady co tchu popędził goniec z wiadomością, że oto wróg nadchodzi.

Strizlapallończycy nie dali na siebie długo czekać. Wkrótce moich uszu dobiegł tupot dziesiątek ciężkich butów, a niedługo potem zza zasłony drzew ukazał się pierwszy szereg wrogich wojowników. Potężni jak góry cali odziani byli w stal: łuskowe zbroje na szerokich piersiach, na głowach zamknięte garnczkowe hełmy, nogi osłonięte nagolennikami. Była to bez wątpienia elita, najlepsi mający przełamać opór wroga, samą swą obecnością wzbudzić strach. Dalej szli pozostali, różnorako wyposażeni. Przeważały stożkowe hełmy z nosalami i kolczugi, lecz byli także ci zagadkowi mężowie, których widziałam podczas pierwszej wizyty najeźdźców. I tym razem szli odziani tylko w skóry z okazałymi porożami na głowach, a broń ich stanowiły przeważnie topory bądź włócznie.

Nasz oddział czekał bez najmniejszego ruchu. Strzały gotowe do lotu spoczywały już na cięciwach, napinające je lekko dłonie były spokojne. Czekaliśmy na sygnał.

Wojowie Strizlapallonu maszerowali niespiesznie, równymi szeregami jeden za drugim, niepowstrzymani

jak pochód samej śmierci. Ich rynsztunek pobrzękiwał złowrogo, nieliczne widziane spod hełmów brodate twarze były bez wyrazu. Gdy Andumrianie odważnie stanęli naprzeciw nich u południowego wylotu "korytarza", nikt nawet nie zwolnił kroku. Niezliczone, zdawać by się mogło, zastępy barbarzyńców nieustraszenie parły naprzód, aż wypełniły sobą niemal cały przesmyk pomiędzy rzeką, a lasem. Pierwsza linia Strizlapallończyków dotarła już prawie do naszej grodzącej dostępu do osady. Wtedy Charsmun zadął w róg. Oto wydano rozkaz ataku.

Cichy dotychczas las wypluł z siebie deszcz strzał na maszerujące oddziały. W tym samym momencie czoło kolumny starło się z andumriańskimi obrońcami. Ogłuszający bitewny zgiełk wybuchł natychmiast. Zgodnie z planem, aby odciążyć naszych wojowników, ostrzał w pierwszej kolejności spadł na drugą i kolejne linie wroga. Celowałam starannie, w miejsca, gdzie zbroja chroniła najsłabiej bądź w ogóle. Z początku zaskoczeni Strizlapallończycy, szybko zauważyli nasze pozycje. Bok kolumny sprawnie utworzył mur z tarcz, po czym w zwartym szyku ruszył na wzgórze. Równocześnie mych uszy dobiegł krzyk Geumaella.

Gdy spojrzałam za siebie, siwowłosy mężczyzna leżał na ziemi, a nad nim pochylał się ubrany w skóry Strizlapallończyk. Serce na moment zamarło mi w piersi. Przejrzeli nasz plan. Przechytrzyły nas leśne dzikusy, pomyślałam z gniewem.

– Huo, Nabris, do mnie! – zawołałam.

Zobaczywszy co się dzieje, biegli już w moim kierunku gotowi do walki. Ponownie wyrażając w duchu uznanie dla ich wyszkolenia, wyszarpnęłam z ziemi wbitą weń włócznie.

– Reszta, uformować szereg!

Pozostali strzelcy dobrze się bronili. Stanęli w szyku bezustannie ostrzeliwując wspinających się poniżej wrogów. Póki co żaden nie zdołał dotrzeć nawet do połowy wysokości wzgórza; u jego stóp ziemia usłana już była trupami barbarzyńców.

Ledwie zdołałam wykrzyczeć komendę, rogaty wojownik ruszył w moim kierunku z uniesionym do ciosu toporem. Byliśmy na nierównym terenie, gdzie łatwo było o upadek. Przeciwnik, co prawda miał tarczę, lecz jego broń była osadzona na krótkim stylisku; przewaga zasięgu leżała po mojej stronie. Dlatego też nie czekałam i od razu przejęłam inicjatywę. Zamarkowałam atak na nogi, po czym błyskawicznie pchnęłam dwumetrowym drzewcem mierząc w pierś napastnika. Niestety barbarzyńca przejrzał mój zamiar. Odepchnął tarczą ostry grot, skoczył, by skrócić dystans. Natychmiast obróciłam broń i, nie zdoławszy zatrzymać się na zdradliwym podłożu, wróg nadział się na tępy koniec drzewca. Wtedy też ugodził go szpic broni nadbiegającego Huo. Wojownik runął na leśną ściółkę pod ciosami naszych włóczni.

Szybko okazało się, że nie był sam. Na szczycie wzgórza spomiędzy drzew dojrzałam zbliżające się strizlapallońskie hełmy. Atak od podnóża także nie ustawał. Byliśmy w pułapce.

– Aromi, co teraz? – zapytał Nabris. Jego młody głos drżał lekko.

W "korytarzu" bitwa trwała. Wrogowie nie niepokojeni już przez naszych łuczników przypuścili atak na obrońców szlaku do osady. Horda Strizlapallończyków wypełniała sobą cały przesmyk. Położyłam ręce na ramionach moich wychowanków.

– Teraz zrobimy to, w czym jesteśmy najlepsi.

Uśmiechnęli się. Ponownie chwycili za łuki, ja zaś skoczyłam ku martwemu ciału Geumaella. Podniosłam jego róg i z całych sił zadęłam dwukrotnie.

Rosły Strizlapallończyk nadchodzący ze szczytu wzgórza padł trafiony strzałą, lecz kolejni już nadciągali. Wtedy też usłyszałam krzyk dochodzący z broniącego się szeregu poniżej. Pojawiło się kilku wrogich łuczników wspomagając swych pobratymców w szturmie na wzgórze; dwóch naszych już trafili. Zaklęłam wściekle biorąc nieprzyjacielskiego strzelca na cel.

Bitewny chaos w "korytarzu" trwał. Obrońcy wylotu trzymali się, lecz Strizlapallończycy bezustannie parli naprzód. Szczęk stali, bojowe okrzyki i wrzaski umierających rozbrzmiewały zlane w jedną szaleńczą pieśń ku czci śmierci. Słuchając jej posłałam kolejną strzałę prosto w pierś rogatego łucznika.

Huo i Nabris, choć robili, co mogli, nie zdołali oczywiście powstrzymać atakujących z góry. Ryczący gniewnie brodacz był już zaledwie dziesięć metrów od nas, a niedaleko za nim kolejnych trzech.

– Włócznie! – krzyknęłam strzelając po raz ostatni.

Stanęliśmy blisko siebie z opuszczoną bronią. Poniżej Andumrianie broniący wzgórza także przeszli już do walki wręcz nie mogąc dłużej powstrzymać naporu coraz liczniejszego wroga. A zatem tak to się skończy, pomyślałam rozżalona. Po krótkiej chwili triumfu znów brutalnie odbiorą nam to, co zawsze było nasze. Tym razem na zawsze.

Spojrzałam w oczy nadbiegającego z góry Strizlapallończyka. Jego brodate oblicze wykrzywiało się szyderczo, gdy wznosił miecz do ciosu. Po tylu latach na ich twarzach gościła wciąż ta sama pogarda, co pierwszego dnia ich pojawienia się w Andumrii; niezmienne poczucie wyższości, które usprawiedliwiało zabór ziem należących do słabych tchórzy z południa. Weźcie je sobie, pomyślałam, ale po moim trupie.

– NA ŚMIERĆ! – ryknęłam drżąc od rozsadzającej mnie furii.

Unieśliśmy broń i zaatakowaliśmy równocześnie. Wojownik, podobnie jak jego poprzednik, lekkomyślnie rzucił się do ataku na pochyłym podłożu. Młodzi najwyraźniej wzięli sobie do serca moje nauki, gdyż celowali w dolne partie ciała. Włócznia Nabrisa rozorała odsłonięte kolano Strizlapallończyka, który z wrzaskiem runął jak długi. Zbiłam jego miecz, gdyż leżąc wciąż bronił się zaciekle, po czym z całych sił dźgnęłam grotem prosto w obrzydliwą brodatą mordę.

Następni trzej nie byli już tak głupi. Ostrożnie nadchodzili w zwartym szeregu osłaniając się nawzajem tarczami.

– Oskrzydlić ich.

Nabris ruszył w prawo, Huo w lewo, ja zaś stanęłam na wprost wrogów. Dwóch z nich byli to wysocy, z pewnością doświadczeni wojownicy. Trzeci, podobnie jak moi wychowankowie, był dość młody. Nasza uwaga od raz skupiła się na nim, jako najsłabszym ogniwie. Dwaj Andumrianie kroczyli uważnie, chcąc zajść nieprzyjaciół z obu stron. Starsi Strizlapallończycy byli opanowani, tylko stojący pośrodku młodzieniec wykazywał niepewność rozglądając się dokoła niezdecydowany. Nie trzeba mi było lepszego zaproszenia do ataku.

Błyskawicznie pchnęłam włócznią na całą długość markując cios, by natychmiast uderzyć w korpus odsłonięty opuszczoną nerwowo tarczą. Młodziak nie, ale stojący obok wojownik zorientował się, co chciałam zrobić. Osłonił swoją tarczą towarzysza, a Huo tylko na to czekał. Dźgnął wroga w udo szybko, niczym kąsający wąż i równie szybko wycofał się poza zasięg kontratakującego miecza.

Z kolei drugi ze starszych wojów ruszył za moim cofającym się drzewcem łamiąc szereg. Sparowałam atak, a Nabris wykorzystał okazję, by zajść wroga od tyłu. Strizlapallończyk zbyt późno pojął swój błąd; grot młodego Andumrianina bez trudu przebił cienki kolczy kołnierz osłaniający kark. Ranny wojownik zatoczył się – bo jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach – zastawiając drogę ruszającemu za nim do ataku młodzieńcowi. Tymczasem Huo był w opałach: próbował ponownie zaatakować trafionego już przeciwnika, lecz ten potężnym cięciem złamał jego oręż. Bezzwłocznie ruszył za ciosem, choć ranna noga go spowalniała.

Kątem oka dojrzałam kolejnych nadchodzących z góry wrogów. To już nie miało potrwać długo.

Uchylając się przed ciosem miecza dźgnęłam z wściekłością, podobnie jak ponawiający swój atak Nabris. Tym razem Strizlapallończyk osunął się na kolana, a stojący za nim młodszy wykorzystał ten moment. Potężne cięcie spadło na hełm Nabrisa, który nie zdążył wycofać się poza zasięg. Młody Andumrianin stracił równowagę, oręż wypadł mu z rąk. Wróg wziął zamach do kończącego ciosu. Gdy próbowałam mu w tym przeszkodzić, grot włóczni niefortunnie ześliznął się po jego zbroi, zamiast przebić stalowe łuski. Ukośne uderzenie wgryzło się głęboko w odsłoniętą szyję mojego wychowanka.

Warcząc wściekle obróciłam broń i tępym końcem drzewca zdzieliłam go prosto w twarz. Zachwiał się na nierównym gruncie, więc natychmiast uderzyłam z zamachu, jak kosą, w jego nogi. Trafione kolano nie utrzymało ciężaru i młodzieniec padł na plecy z bolesnym jękiem. Jeszcze zdążył popatrzeć na mnie błagalnie, nim grot przebił mu gardło.

Nieco dalej Huo ciągle walczył o życie. Machał trzymanym oburącz przyciętym drzewcem jak pałką, co oczywiście nie stanowiło żadnego zagrożenia dla odzianego w zbroję wroga. Dobrze, że rana Strizlapallończyka ograniczyła znacznie jego możliwość poruszania się. W przeciwnym razie straciłabym także drugiego podopiecznego.

Nie było czasu do stracenia, kolejni barbarzyńcy zbliżali się już z góry. Ruszyłam z bojowym okrzykiem. Wojownik nie dał się zaskoczyć i przyjął na blok serię szybkich pchnięć. Ciął próbując zniszczyć i mój oręż, lecz wycofałam się w porę. Stojący z drugiej strony Huo wykorzystał odwrócenie uwagi przeciwnika bijąc z całych sił w ranne udo. Strizlapallończyk warknął opędzając się mieczem. Już miałam uderzyć, zauważywszy lukę w obronie, gdy niespodziewanie coś szarpnęło boleśnie moim lewym ramieniem. Z przerażeniem zauważyłam strzałę wbitą nieco powyżej łokcia, sterczącą między przebitymi ogniwami kolczugi.

Łucznik stał jakieś dziesięć metrów poniżej, a na cięciwie miał już kolejny pocisk. Wojownik również to zauważył i natychmiast z krzykiem ruszył do ataku. Odwrócił się przy tym tyłem do Huo, najwyraźniej nie uznając go za zagrożenie. W panice sparowałam uderzenie z góry, lecz jego siła sprawiła, że straciłam równowagę. Cofnęłam się o krok i upadłam ciężko na plecy. Tylko dzięki temu wypuszczona właśnie strzała pomknęła dalej, zamiast zatopić się w mej piersi.

Wróg nie dał mi chwili wytchnienia. Cięciem miecza rozrąbał drzewce włóczni, którą starałam się zasłonić, i na dodatek trafił w przedramię. Choć prawdopodobnie nie przeciął kolczugi, ból w rannym le-

wym ramieniu był rozdzierający.

Strizlapallończyk przekręcił miecz mierząc we mnie ostrym szychem, a ja nie miałam już nic do obrony. Mężczyzna szyderczo wyszczerzył żółte zęby. Zauważyłam jak napinają się mięśnie jego szerokiego karku, kiedy unosił klingę. Nie założył kolczego kołnierza, jak jego towarzysz, i to właśnie przyniosło mu zgubę. Rozpędzone obszernym zamachem ostrze weszło w gołą skórę jak w ciepłe masło, opór stawiła mu dopiero kość obojczyka. Barbarzyńca wydał z siebie rzężący wrzask bólu, a potem gwałtownie stoczył się w dół wzgórza popchnięty z tyłu przez wyszarpującego oręż Huo. W czasie, gdy dzikus skupił się na walce ze mną, mój uczeń wykorzystał moment, by podnieść miecz zabitego wcześniej Strizlapallończyka. Moja szkoła, zdążyłam jeszcze pomyśleć, gdy młodzieniec skoczył. Huo był wyższy i cięższy ode mnie; w pełnym rynsztunku runął na mnie jak kamień odbierając mi oddech. Leżąc zasłonił moją głowę i korpus zdobytą na wrogu tarczą, czym uratował mi życie. Nadlatująca strzała odbiła się od niej z głuchym stuknięciem.

Wtedy ryk dziesiątek gardeł przeszył wieczorne powietrze. Strizlapallończycy, którzy byli już niewiele powyżej naszej pozycji obejrzeli się zdziwieni. Ja również dojrzałam jakiś ruch na szczycie wzgórza. Krzyk narastał i oto spomiędzy drzew wyłoniło się mnóstwo andumriańskich hełmów, a wraz z nimi las wzniesionych w górę mieczy, toporów i włóczni. Przybyli zgodnie z ułożonym przeze mnie planem na dźwięk rogu Geumaella, w który zadęłam.

Huo zerwał się na nogi. Wstałam z jego pomocą ciągle chroniona tarczą, lecz nie było to potrzebne. Zagrażający nam łucznik przerwał ostrzał, gdyż, podobnie jak inni na wzgórzu, patrzył na wydarzenia w "korytarzu". Tam także niósł się bitewny okrzyk oddziału Andumrian, którzy niespodziewanie wkroczyli na pole bitwy w północnej części przesmyku. Szarżując dziko nasi wojownicy spadli na tył kolumny zaskoczonych barbarzyńców niczym pancerna pięść. Tym sposobem zamknęli wrogiej armii drogę wyjścia z ciasnego "korytarza". Strizlapallończycy zostali wzięci w stalowe kleszcze.

Zgodnie z moim planem trzon północnego oddziału miał uderzyć na tyły nieprzyjaciela, jego lewe skrzydło zaś wspomóc obrońców wzgórza. Tak też się stało. Na widok odsieczy w moją walczącą poniżej grupę, mocno już przetrzebioną, wstąpiły nowe siły. Wraz z Huo również ruszyłam im na pomoc, wiedząc, że z góry przybywa północno-wschodnia grupa; ukryci wcześniej w lesie oni także na sygnał dołączyli do bitwy.

Cóż to był za widok! Ogarnięci bitewnym szałem mężowie Andumrii rozbili całkowicie szeregi wroga. Strizlapallończycy zaskoczeni atakiem z tyłu padali jak muchy od naszego oręża. Na brodatych twarzach najeźdźców z lasu pierwszy raz zamiast buty i pogardy, dojrzałam autentyczny strach. Wpadli w pułapkę i pojęli już, że nie wyjdą z niej żywi.

W samym centrum bojowego zamieszania zauważyłam Charsmuna. Poznałam jego wysoką sylwetkę zakutą w stal. Wymachiwał z furią toporem wyrąbując sobie drogę wśród przerażonych dzikusów niczym przez gęste zarośla. Widok Strizlapallończyków rzucających się do ucieczki, gdy nie było już dokąd uciekać, napełniał mnie dziką radością. Niesiona nią porwałam swój łuk, to samo przykazawszy Huo, by za jego pomocą nieść jeszcze więcej śmierci, dolewać jeszcze więcej plugawej barbarzyńskiej krwi do wód Andumrii, w których pływały już dziesiątki trupów. W bojowej euforii zapomniałam nawet o rannym ramieniu.

Zacięta bitwa przerodziła się w rzeź. Stłoczonemu w ciasnym przesmyku wrogowi na nic zdała się przewaga liczebna. Ich morale rozsypało się w proch, nas zaś niosła gorejąca nienawiść oraz poczucie

sprawiedliwie wymierzanej kary za doznane upokorzenia. Wymierzały ją bez litości nasze miecze, topory, włócznie i strzały. I gdy zapadły już ciemności nocy, żaden ze Strizlapallończyków nie został przy życiu. Zimnego powietrza nie psuł ani jeden śmierdzący oddech bękarta puszczy. Jedynym, co tamtej nocy rozbrzmiewało w okolicach Galonvale, a niewątpliwie słyszeli to także najeźdźcy w pozostałych trzech osadach, był triumfalny ryk zwycięstwa Andumrian.

Było mnóstwo rannych, prawie siedemdziesięciu zabitych. Ale warto było ponieść ofiarę krwi. W bitwie zabiliśmy dwustu trzynastu barbarzyńców, najlepszych spośród wojowników puszczy Strizlapallonu. Tamtego wieczoru głowa naszego wroga została odrąbana, nie miałam co do tego wątpliwości. Zwycięstwo było rozstrzygające, odtąd powrót na nasze ziemie był tylko kwestią czasu.

W północnym przesmyku poległo wielu naszych znakomitych wojowników. Straciłam dużą część mojego oddziału, który z takim oddaniem wywiązał się z zadania obrony wzgórza. W zamieszaniu bitewnym od mieczy wrogów padł również Charsmun, nasz dotychczasowy dowódca.

Nazajutrz wyprawiliśmy zasłużony pogrzeb bohaterom dwóch bitew o Galonvale. Dla pewności wysłałam zwiadowców, by obserwowali trzy pozostające wciąż w rękach Strizlapallończyków osady. Nikt nas nie niepokoił. Nawet nie przyszli, by pogrzebać swoich umarłych. Znów zapłoną stosy barbarzyńskich trucheł, pomyślałam obserwując ceremonię pochówku.

Andumriańscy mężczyźni podchodzili po kolei i rzucali po garści ziemi do zbiorowej mogiły poległych. Niektórzy przystawali, by wygłosił parę słów na cześć bohaterów. Ostatnim z nich był Huo. Ze spuszczoną głową patrzył przez chwilę na straszne żniwo zmagań z najeźdźcami, a gdy nagle się wyprostował, jego oczy spoczęły na mnie.

– Aromi – powiedział z mocą w głosie.

– Aromi – powtórzył ktoś po chwili ciszy. Był to mój dawny mąż, Baruf.

Zawtórowali im kolejni i zaraz wszystkie, kobiece i męskie, gardła rozkrzyczały się skandując głośno jedno słowo, będące nadanym mi przy przyjściu na ten świat imieniem.

– A-RO-MI! A-RO-MI! A-RO-MI!

I od tego dnia lud Andumrii miał przywódczynię.

Tak, jak myślałam, zdobycie pozostałych osad było formalnością, pomimo iż ich okupanci bronili się z niewiarygodnie zajadle. Tylko odwlekli tym nieuniknione. Kości ich elity spoczywały w popiołach, nie było już pośród Strizlapallończyków wojów, którzy mogliby się z nami równać. Tak oto, przepędziwszy najeźdźców, po latach i wielu ofiarach, Andumrianie wrócili ostatecznie na swoje prawowite ziemie.

Starszyzna straciła resztki podkopanej już władzy. Wciąż otaczano ich szacunkiem, przez wzgląd na przeszłe czyny, lecz słowa starszych nie posiadały dawnej rozkazującej mocy. Oczywiście żaden z nich nie pogodził się z tym, a już z pewnością nie Gemore. W jego spojrzeniach ciągle widziałam wściekłość po upokorzeniu doznanym w dniu, w którym wkroczyłam na ścieżkę wojny. Nie musiałam długo czekać, aż pierwszy raz wystąpi przeciwko mnie.

Andumria lizała rany. Wojna nadszarpnęła nasze zapasy, w dodatku zbliżała się zima. Niemal dwieście

strizlapallońskich kobiet i dzieci pozostających w niewoli stanowiło dla nas zbędne obciążenie. Powstał problem co z nimi począć. Część naszych mężczyzn przekonywała mnie, by ich wypuścić. Inni wskazywali, że to niebezpieczne, jeńcy wzmocniliby przecież naszego wroga. Należało zatem wszystkich zgładzić.

– Zabić bezbronnych? Nigdy tak nie postępowaliśmy. Charsmun nie pozwolił na to, nie pamiętacie? – oburzył się Wrrudan.

– A gdzie ty byłeś, gdy my biliśmy się o Galonvale? Nie widziałeś co mężowie i ojcowie pojmanych uczynili naszym ludziom! – zarzucił mu Huo. – Jeśli ich wypuścimy, te dzieci puszczy wrócą tu po latach wychowane w nienawiści do naszego ludu. Będzie nowa wojna, być może straszniejsza od tej!

– Plamiąc ręce krwią dzieci nie różnilibyśmy się niczym od barbarzyńców z lasu. Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam zniżać się do ich poziomu.

– Oni nie mieliby skrupułów w takiej sytuacji. Zadbaliby o bezpieczeństwo swojego plemienia. Nie masz w sobie siły niezbędnej do podjęcia trudnych decyzji. To przez takich jak ty, Wrrudan, musieliśmy zhańbieni opuścić te ziemie!

Twarz starszego wojownika stężała. Wiedziałam, że jeszcze chwila i zwolennicy obu rozwiązań zwrócą się przeciwko sobie.

– Huo, przestań! To, co było, jest już za nami, zajmijmy się dniem dzisiejszym – uciszyłam mojego ucznia. – Wrrudan ma rację, że nie mamy zwyczaju tak postępować z jeńcami. Nigdy jednak wcześniej nie napotkaliśmy tak bezwzględnego przeciwnika. Gdy przed dziesiątkami lat zdobywaliśmy ziemie nad brzegiem Andumrii, traktowaliśmy pokonanych z honorem. Kobiety nie były gwałcone, dzieci nie były zabijane. Zawarliśmy traktat pokojowy, a dziś potomkowie tamtych ludzi są naszymi braćmi, pełnoprawnymi członkami naszego ludu. Ze Strizlapallończykami zaś nie będzie paktu. Czyż nie to nam powiedzieli, gdy pierwszy raz postawili stopę w tej krainie? Nie chcieli negocjować, ani zawierać porozumień. Chcieli naszej ziemi oraz naszych kobiet, po dobroci lub siłą. Nie stanowimy dla nich honorowych oponentów, tylko uciążliwe chwasty, które chcą wyrugować, zatem w przypadku zwycięstwa nie mieliby litości. My także nie powinniśmy mieć. Nadszedł czas zrobić to, co nasz wróg ani chwili nie wahałby się zrobić. Jeńcy zostaną straceni.

Po moich słowach rozległy się aprobujące krzyki po stronie mężów reprezentowanych przez Huo.

– Równocześnie obiecuję – ciągnęłam – że nigdy więcej nie będziemy już musieli plamić się takimi uczynkami. Zadbam o to, jako osoba, której powierzyliście losy naszego ludu. Kto nie chce w tym uczestniczyć, nie będzie zmuszany. Biorę tę decyzję na swoje barki, na mnie niech spadnie cała hańba tego czynu.

Gemore jakby tylko na to czekał. Chwilę po usłyszeniu moich słów wyłonił się z chaty, gdzie trzymani byli jeńcy, niosąc w rękach jakieś zawiniątko.

– Zacznijmy zatem od razu, Aromi, na co tu czekać? – głośno powiedział podchodząc.

Na jego rękach spoczywało zawinięte w koc strizlapallońskie niemowlę.

– Zabij naszego wroga, daj przykład jak należy to czynić!

Przebiegła złośliwość aż biła z jego starych oczu, gdy wyciągał w moim kierunku dziecko. Odpowiadając mu hardym spojrzeniem dobyłam sztyletu.

Chłopiec miał może kilka miesięcy. Kępka ciemnych włosów porastała jego okrągłą głowę, ciemne oczy wpatrywały się z zaciekawieniem to we mnie, to w Gemore. Chwyciłam mocniej rękojeść, czując jak, pomimo chłodnej pogody, poci mi się dłoń. Dziecko zaczęło gnieść koc drobnymi rączkami; gaworząc wydało z siebie głośne "baaa!". Nie mogłam oderwać wzroku od jego buzi, która ani na moment nie zastygała w bezruchu, ciekawa i pełna życia. Równocześnie zdałam sobie sprawę, że wszyscy dookoła patrzą na mnie.

– Co się dzieje, Aromi? To tylko mały Strizlapallończyk.

– Jak śmiesz wystawiać mnie na próbę, starcze?! – wycedziłam. Miałam ogromną chęć wbić ostrze sztyletu w sam środek tej pomarszczonej złośliwie uśmiechniętej twarzy.

– To twoją wolą było stracić jeńców, dlaczego teraz się wahasz?

Moje ramię opanowała dziwna słabość. Dziecko nie spuszczało ze mnie wielkich oczu wytrzeszczonych jakby w zdziwieniu. Jego wzrok przeszywał mnie. Patrzył przeze mnie, przez moje ciało, moje myśli, a nawet moją przeszłość. Jego oczyma spoglądałam sama na siebie.

– Aromi, co z tobą? Jesteś naszą przywódczynią, czy nie!?

Te pełne oburzenia słowa padły z ust Huo, niezdarnego niegdyś młodzieńca, którego zmieniłam w sprawnego wojownika i dumnego Andumrianina. Nieokiełznana wściekłość wybuchła nagle, zalała mnie jak przerywająca tamę rzeka. Dłoń złapała gwałtownie młodą szyję, noga z zamachu uderzyła w tył kolana podcinając je i zdumiony Huo runął na plecy. Sztych sztyletu zawisł centymetry nad jego gardłem.

– Nigdy więcej nie waż się tak do mnie odzywać. Nigdy więcej nie waż się mnie oceniać. To ja cię stworzyłam i ja cię zniszczę, jeśli przyjdzie mi taka ochota – wyszeptałam lodowato do przerażonych oczu młodego wojownika.

Gdy się wyprostowałam, wszystkie oczy wpatrzone były we mnie. Nikt się nie odzywał.

– Na co tak patrzycie?! Wracajcie do swoich rodzin, nic tu po was! – krzyknęłam z trudem hamując napływające do oczu łzy.

Gdy odchodziłam ze spuszczoną głową, słyszałam jeszcze jak Gemore spokojnym władczym głosem wydaje polecenia.

– Każcie jeńcom szykować się do drogi, za godzinę mają być gotowi. Zgromadźcie wszystkich przy młynie, przygotowałem tam skromne zapasy, które wystarczą im na drogę do Strizlapallonu. Potem poprowadźcie ich do północnego szlaku i puśćcie wolno.

Jeńcy odeszli, a ja miałam nadzieję, że byli to zarazem ostatni Strizlapallończycy, jakich dane mi będzie zobaczyć w życiu. Wojna odeszła wraz z nimi. Do doliny Andumrii powrócił upragniony spokój.

Wszystko toczyło się dawnym niespiesznym rytmem. Andumrianie uprawiali pola, polowali, łowili ryby, zajmowali się rzemiosłem, ucztowali przy ognisku i wychowywali nowe pokolenie. By nie popełnić błędu z przeszłości wprowadziłam obowiązkowe szkolenie bojowe i łowieckie dla wszystkich chłopców w naszych osadach, a także – co wywołało wściekły sprzeciw starszyzny – dla chętnych dziewczynek. Wszystkie osady zostały odtąd otoczone palisadą.

Moja władza była niezagrożona, pomimo incydentu z jeńcami. Wszyscy przecież pamiętali, że to dzięki mnie przepędziliśmy wroga z naszego domu. Starszyzna mimo to nie ustawała w swych spiskach; Gemore tylko czekał na najmniejsze potknięcie z mojej strony, choć oczywiście oficjalnie uznawał moje przywództwo i na każdym kroku okazywał mi nieszczerą uprzejmość.

Mieszkałam sama. Dni upływały mi na polowaniach – samotnych, bądź z grupką nowych młodych uczniów, a nawet dwóch uczennic, co szczególnie mnie cieszyło. Siostry Vadinka i Sabinnu okazały się bardzo zdolne. Były ciche, zwinne, posłuszne, posiadały celne oko oraz szybko się uczyły. Czasem wyprawiałam się tylko z nimi dwiema, by obecność chłopców nie przeszkadzała im w nauce. Po cichu widziałam w nich następczynie, które po latach przejmą po mnie nauczanie, gdy mnie zabraknie już sił. Kto wie, może również i przywództwo w naszym ludzie. Co prawda byłam wciąż dość młoda, ale wolałam zawczasu zadbać o pewne sprawy na wypadek mojej śmierci. Przyszłość – co nauczyła mnie ta straszna wojna – bywa niepewna. Nie zamierzałam pozwolić, by starszyzna znów wprowadziła swe nieudolne rządy.

Z początku jako kolejnego przywódcę Andumrian widziałam Huo. Był niewątpliwie ambitny, waleczny, posiadał też prawdziwe bojowe doświadczenie. Nie przerażało go podejmowanie trudnych i szybkich decyzji, co było jednocześnie i wadą i zaletą. Z drugiej strony, brakło mu rozwagi, spojrzenia na problem z innej, niż swoja perspektywy. Andumriański wódz powinien wykazywać się mądrością, nie tylko w czasie wojny, ale, być może przede wszystkim, w czasie pokoju. Następne siedem lat pokazały mi, że miałam rację – cechy tej brakowało mojemu dawnemu uczniowi, natomiast Sabinnu i Vadinka imponowały nią, mimo młodego wieku. Dlatego to właśnie z nimi dzieliłam się swoimi myślami, a one słuchały chętnie.

Huo wyrósł na porywczego mężczyznę. Zdarzało mu się wszczynać bijatyki z powodu różnicy zdań z innymi mężami, bywał też przewrażliwiony na punkcie swojego honoru. Huminia, którą pojął za żonę, towarzyszyła mu przestraszona i cicha jak mysz. W treningowych pojedynkach walczył zawzięcie niczym na polu bitwy. Czasem gdy posyłał mi swoje harde spojrzenie, zastanawiałam się w jakim stopniu na jego zachowanie wpłynęły moje wyszeptane w gniewie słowa. Pamiętał je, byłam tego pewna, choć nie wracaliśmy do tego incydentu. Okazywał mi niewątpliwie szczery szacunek, lecz nasze relacje tak naprawdę dalekie były od przyjaznych.

Przez te siedem spokojnych lat Andumrianie zapomnieli o wojnie. Mężczyźni brali kobiety za żony i zakładali rodziny. Niektórzy snuli śmiałe plany o budowie kolejnej osady dalej na wschód. Zbiory były dobre, w kończące się lato mieliśmy mnóstwo zapasów. Mimo to często zabierałam siostry na polowania, bardziej dla wprawy, niż z konieczności zdobycia pożywienia. Jak niegdyś Nahro, uczyłam je wszystkiego, co sama potrafiłam i po tych kilku latach mogłam śmiało powiedzieć, że przekazałam już całą swoją wiedzę. Vadinka i Sabinnu, jak wspomniałam, obdarzone zostały przenikliwymi rozumami, zatem bez wątpienia domyślały się, czemu służą nasze wyprawy. Byłabym głupia myśląc, że ich bystre oczy nie dostrzegają jak czujnie rozglądam się po lesie, badam ślady, czy z daleka wypatruję dymu ognisk. Nigdy nie komentowały moich poszukiwań. Nigdy, aż do pewnego pochmurnego popołudnia.

Wyprawiłyśmy się jakieś pół dnia drogi na północny-wschód od Galonvale. Dziewczyny ustrzeliły kilka zajęcy, ja znalazłam sporo jadalnych grzybów, a także parę haluz – zawierających w sobie silną truciznę, którą, w razie potrzeby, można było pokrywać groty strzał. Jakiś czas temu odkryłam je sama, nawet Nahro o nich nie wiedział.

Byłyśmy już w drodze powrotnej do osady. Pogoda nie zachęcała do dalekich wypadów; blizna w miejscu lewego ucha rwała mnie boleśnie, a to zazwyczaj zwiastowało opady. Siostry szły przodem, kilkanaście metrów przede mną rozmawiając cicho. Pozwalałam im na odrobinę prywatności Łączyła je silna więź, z pewnością dzieliły wszystkie swoje sekrety. Miały po szesnaście lat, młodzieńcy bardzo się już nimi interesowali, co wcale nie dziwiło, biorąc pod uwagę ich urodę. Wkrótce powieszą łuki na kołku i założą rodziny. Nie martwiło mnie to. W chwili próby będą gotowe oddać życie za nasz lud, nie miałam co do tego wątpliwości.

Rozmyślałam tak leniwie o przyszłości, gdy siostry nagle zatrzymały się. Zobaczyłam jak kucają nad jakimś znaleziskiem wyraźnie zainteresowane. Z lekkim niepokojem przyspieszyłam kroku. Byle co nie zwróciłoby ich uwagi. Gdy dołączyłam do nich, poważne jak zawsze oczy Vadinki wpatrywały się we mnie przeszywając swym błękitem.

– Co to jest, Aromi?

Podążyłam za jej wzrokiem i poczułam jak zamiera we mnie serce.

– To z pewnością dzieło człowieka i z pewnością nie Andumrianina. Żaden z naszych nie stworzyłby czegoś podobnego – orzekła spokojnie Sabinnu.

Mnie zaś niczego wtedy tak nie brakowało jak spokoju. Przypatrująca mi się wciąż Vadinka z pewnością to dostrzegła.

– Widziałaś to już wcześniej, prawda? – zapytała.

Palik tym razem był krótszy, poskręcany i sękaty. Nadawało to konstrukcji jeszcze bardziej złowieszczy wygląd, gdyż zatknięta na szczycie czaszka przypominała pochyloną głowę jakiejś paskudnej wychudłej istoty. Lekki wiatr wygrywał nieregularną melodię na unoszonych paciorkach i kościach.

– Tak, moja droga, widziałam. I, jak dotąd, żyłam w nadziei, że więcej już nie ujrzę.

– Co oznaczają te symbole?

Mówiąc dziewczyna wyciągnęła szczupłą dłoń w kierunku napisów na wyschniętej ziemi. Powstrzymałam ją.

– Lepiej nie dotykaj.

– Te inskrypcje musiały powstać niedawno, inaczej wiatr by je pozacierał.

Siostry badały dalej palik, ja tymczasem rozejrzałam się w poszukiwaniu śladów. Nie musiałam długo szukać; ten kto tu był, wcale nie starał się ukryć swej obecności. Jakiś czas podążałyśmy za śladami dwóch ludzi. Prowadziły na północ. Cały czas na północ w kierunku mrocznych puszcz Strizlapallonu.

– Oni znów tu są. Znów kręcą się po naszych ziemiach – zakończyłam opowieść przed zgromadzeniem wszystkich mieszkańców Galonvale, które zwołałam niezwłocznie po powrocie.

– Od czasu wojny nikt ich tu nie widział. Skąd mieliby się nagle wziąć w środku lasu? – zapytał Wrrudan.

– I skąd pewność, że to dzieło człowieka? Może deszcz podmył teren i odsłonił jakiś stary grób? – zastanawiał się głośno Gemore. Wciąż żył. Im starszy, tym, miałam wrażenie, bardziej mnie nienawidził.

– Już to kiedyś widziałam. Tu, w Galonvale, gdy odbiliśmy je z rąk wroga. Podobna zagadkowa konstrukcja o nieznanym przeznaczeniu. Do dziś w tamtym miejscu nie rośnie trawa, nie zastanawiało cię nigdy dlaczego?

– Co zamierzasz z tym zrobić, Aromi? – odezwał się Huo. On również patrzył z nieskrywaną niechęcią na członka starszyzny.

– Oni coś szykują, czuję to. Minęły lata, ale nie zapomnieli o nas. Nim podejmę decyzję muszę dowiedzieć się więcej kto to zrobił i dlaczego.

– Chcesz iść do Strizlapallonu? – zdumiał się Wrrudan.

– Póki co tylko na krótką wyprawę zwiadowczą, jeszcze nim nadejdzie jesień. Tam leży odpowiedź.

– Chyba straciłaś rozum, Aromi! Z powodu sterty kości chcesz sprowadzić zagrożenie na nasz lud? – przemówił znów Gemore. – Nawet jeśli to, co znalazłaś zrobił Strizlapallończyk, to cóż z tego? W niczym nam to nie zagraża, póki trzymają się z dala od naszych osiedli.

– Gdyby była to błahostka, żaden z nich nie ryzykowałby długiej podróży na tereny dawnego wroga. Musiał mieć w tym jakiś cel – zauważyła Sabinnu.

– Nie wtrącaj się do rozmów dorosłych, panienko. Za młoda jesteś na dyskusje o sprawach ludu.

– A ty, mogłabym powiedzieć, jesteś za stary. Nie strofuj mojej podopiecznej, starcze. Dopóki ja przewodzę ludowi Andumrii, każdy ma prawo wypowiedzieć się i być wysłuchanym.

Gemore zmierzył mnie zimnym spojrzeniem, ale nic nie odrzekł.

– Zwłaszcza, że dziewczyna ma rację. Barbarzyńcy nie wychodziliby ze swych lasów ot tak sobie – poparł mnie Huo.

– Nie są agresywni. Nawet jeśli chodzą po lasach, omijają z daleka nasze osady. Postawienie kopca z kości w leśnej głuszy w niczym nam nie zagraża. To pewnie jakaś ich dziwna tradycja – rzekł Wrrudan.

– Teraz nie są, ale gdy zaczniemy węszyć po ich ziemiach, mogą być.

Gemore wiedział jak zasiać w innych niepewność. Ludzie szybko zapomnieli genezę poprzedniej wojny, pomyślałam gorzko.

– Mam nadzieję, że macie rację i Strizlapallończycy niczego już od nas nie chcą. Niemniej muszę mieć

pewność. Nie zamierzam tam nikogo atakować, nie znam nawet dobrze ich ziem. Wystarczy mi dyskretny zwiad, by zobaczyć, czy nie przygotowują się do kolejnego najazdu. Kilka godzin, najwyżej dzień obserwacji. Nic więcej. Potrzebuję kogoś do pomocy. Puszcza leży jakieś trzy dni drogi stąd spokojnym tempem, zatem wyprawa potrwa około tygodnia. Najlepiej byłoby wyruszyć już teraz, póki jeszcze dni są w miarę ciepłe. Kto pójdzie ze mną?

Pytanie zawisło w ciszy. Mężowie Andumrii patrzyli po sobie albo w ziemię, jedynie Gemore odpowiedział mi butnym spojrzeniem. Vadinka i Sabinnu bez namysłu stanęły przy mnie.

– Huo?

– Moja kobieta wkrótce będzie rodzić. Muszę zostać przy niej.

Głos miał niepewny, ale wiedziałam, że w innych okolicznościach poparłby mnie.

– Nikt więcej? Czy w Andumrii tylko kobiety mają dość odwagi? – zapytałam milczące twarze.

– Aromi, nie działajmy pochopnie. Powinniśmy jeszcze przemyśleć tę sprawę – włączył się Baruf.

– Nie ma tu nad czym myśleć. Przed zimą mamy dostatecznie dużo pracy, nie trzeba nam szukać sobie dodatkowych obowiązków. Skoro nic nie zagraża Andumrii, a nie ma na to bezpośrednich dowodów, nie będziemy lekkomyślnie prowokować nieprzyjaznego ludu z powodu jakichś przypuszczeń. Wszystko zostało już powiedziane na ten temat. Kto chciał, wypowiedział swoje zdanie. Uważam zgromadzenie za zakończone.

Rzekłszy to, Gemore odwrócił się, by odejść. Gniew aż mną zatrząsł, dłoń sama zaczęła szukać stali przy pasie na widok zachowania starca i innych potakujących mu, którzy zaczęli się już rozchodzić.

– Ja tu zwołuję zebrania i ja decyduję, kiedy mają się zakończyć! – warknęłam. – Sami chcieliście, abym przewodziła naszemu ludowi, nie pamiętacie już? To ja poprowadziłam was do zwycięstwa! Dzięki mnie mieszkacie tu, zamiast tułać się po południowych ziemiach! Naprawdę uważacie, że zrobiłabym coś, co sprowadziłoby niebezpieczeństwo na nasz lud? Poświęciłam życie walcząc za Andumrię!

Wrrudan położył mi dłoń na ramieniu. Natychmiast strąciłam ją gwałtownie.

– Aromi, wojna się skończyła – powiedział łagodnie patrząc w moje nabiegające już łzami oczy.

– Wojna tak, ale nie nienawiść. Odejdź, jak inni, nic tu po tobie.

Wkrótce na placu w centrum osady zostałam tylko ja, Sabinnu i Vadinka. Siostry zapewniały mnie o swojej lojalności, lecz nie mogłam ich narażać. Gdyby na terenach barbarzyńców spotkała nas śmierć, kto przejąłby przywództwo w Andumrii? Porywczy Huo? Nieudolny Gemore? Spolegliwy Wrrudan?

Martwiło mnie to stale, dlatego starałam się jak najlepiej przygotować siostry do przyszłej roli. Nie rozmawialiśmy wprost na ten temat, ale one z pewnością przejrzały moje zamiary. Tak minęły kolejne trzy lata mojego przywództwa, stale podkopywanego przez wewnętrznych wrogów.

Andumriańskie panny zakładały rodziny, na świat przyszło nowe pokolenie. Vadinka i Sabinnu nie były tu wyjątkiem. Tego roku uznaliśmy, że nasz lud potrzebuje więcej przestrzeni do życia. Wczesną wiosną

ruszyła budowa nowej osady na północnym wschodzie. Powstawało póki co pięć domów wraz z zabudową gospodarczą, przeznaczonych dla szczególnie licznych rodzin. Jedną z nich stanowiła żona i potomstwo – a tego roku przyszło na świat szóste ich dziecko – Bamina, starszego brata moich drogich podopiecznych oraz, miałam nadzieję, przyszłych następczyń. Siostry wraz z ich mężami pomagały zatem jak mogły, gdyż pracy było sporo. One jeszcze nie doczekały się dzieci, tyle co obchodziliśmy ich ceremonie zaślubin.

Rzadko się widywałyśmy. One zajęte były pracą w nowej osadzie, ja dalej uczyłam młodzież. Brakowało mi sióstr, ich bystrości, opanowania i łagodności. Choć nowi uczniowie radzili sobie dobrze, nie było wśród nich tak utalentowanych jednostek.

Gemore zaczął podupadać na zdrowiu. Miał ponad siedemdziesiąt lat, przy życiu trzymały go chyba tylko niezłomna duma i ambicja. Większość znanej mi starszyzny już wymarła, a starsze pokolenie zasłużonych wojowników, jak na przykład Geumaell, nie przeszło w stan spoczynku, gdyż niemal w całości zginęło w czasie wojny. Nienawidzący mnie starzec prawie nie opuszczał swojej chaty, co wcale nie przeszkadzało mu dalej jątrzyć. Pocieszała mnie myśl, że i on wkrótce przejdzie do historii, a wraz z nim dawne zwyczaje naszego ludu. Odtąd rządy sprawować będą przywódcy – mądrzy, energiczni i gotowi do poświęceń – a jednym z najważniejszych ich obowiązków będzie wychowanie godnego następcy. Ja już go spełniłam – po mojej śmierci przywództwo obejmą Sabinnu i Vadinka. Decyzję tę zamierzałam ogłosić po zakończeniu pierwszego etapu budowy osady, kiedy to nastąpi uroczyste nadanie jej nazwy, zapoczątkowując tym samym nowy zwyczaj dla kolejnych przywódców Andumrii.

To była jedna z rzeczy, które zamierzałam po sobie zostawić. Drugą była pamięć. Nie interesowała mnie jednak własna chwała, nie dbałam, co będą po latach śpiewać w pieśniach. Pragnęłam jedynie, by wydarzenia ostatniej wojny nie zostały zapomniane, by nigdy więcej nasz lud nie pogrążył się w marazmie uśpiony latami pokoju. Jeśli Andumria nie zapomni, jak wielką ofiarę przyszło jej ponieść za swoje zaniedbania, nigdy więcej nie utraci czujności wobec nadchodzących zagrożeń. Przyszłość, jak już wspomniałam, jest niepewna. Potrafi boleśnie zaskoczyć, o czym przekonałam się jeszcze tego roku.

Nowe domy powstawały na krańcu lasu, gdzie blisko było do pól uprawnych. Gleba nie była wprawdzie tak żyzna jak na naszych południowych ziemiach, ale z pewnością wykarmi nowych osadników. Zwierzyny łownej także było pod dostatkiem, a mając pod ręką tak znakomite łowczynie jak Sabinnu i Vadinka, tamtejsi mieszkańcy mogli być spokojni.

W ten ciepły wiosenny dzień wydawało się, że wszystko tak dobrze się zapowiada. Wraz z pięcioma uczniami wyruszyliśmy obejrzeć jak idą prace. Przy okazji mogłam sprawdzić, czy młodzi już na tyle dobrze opanowali umiejętność orientacji w terenie, by samodzielnie odnaleźć drogę. Oczywiście poradzili sobie. Owszem, byłam wymagająca, lecz od przekazywanej im wiedzy mogło pewnego dnia zależeć ich życie.

Byliśmy już całkiem blisko, drzewa wyraźnie się przerzedziły. Puściłam młodzież przodem, sama zaś szłam niespiesznie rozkoszując się piękną pogodą, która wreszcie nadeszła pod długiej zimie. Witaj, Andumrio, pomyślałam. Rozrastasz się pięknie, niczym dorodne drzewo. Od przyjemnych rozmyślań oderwał mnie czyiś głos wykrzykujący moje imię. Kilkadziesiąt metrów dalej – gdzie spomiędzy drzew widoczna już była wykarczowana przestrzeń przeznaczona do zabudowy – stali moi podopieczni. Podbiegłam do nich z szybko bijącym sercem. Jeszcze nim zdążyli się odezwać dostrzegłam wbitą w najbliższą sosnę strzałę.

– Zostańcie tu. Trzymajcie łuki w pogotowiu – poleciłam patrząc na ich zaniepokojone twarze, sama też

chwyciłam za broń.

Ruszyłam biegiem od drzewa do drzewa cały czas wypatrując zagrożeń. Dookoła unosiła się niezmącona cisza, co było jeszcze bardziej niepokojące. W obozie nikt nie pracował, nikt nie krzątał się wokół rozstawionych namiotów. Nie słychać było stukotu młotków, zgrzytu pił, ani nawet rozmów. Nic.

Lustrowałam uważnie otoczenie i po chwili moje oczy dostrzegły ludzką sylwetkę. Po drugiej stronie polany na granicy lasu, ktoś siedział oparty o drzewo. Wyglądał jakby drzemał sobie w cieniu.

Podchodziłam powoli starając się zachować ciszę. Wciąż z obozu nie dochodził żaden dźwięk poza lekkim wietrzykiem szeleszczącym w gałęziach drzew. Siedzącym człowiekiem był Bamin, poznałam go po długich kruczoczarnych włosach, które jednak zasłaniały jego twarz. Był zwrócony do mnie tyłem, nie zareagował, gdy wymówiłam jego imię.

– Bamin! – ponowiłam wezwanie głośniej.

Pełna złych przeczuć podeszłam jeszcze bliżej. Wtedy wszystko było już jasne. Mym oczom ukazał się leżący nieopodal w wysokiej trawie miecz. Dotknęłam ramienia mężczyzny, a on osunął się bezwładnie po konarze drzewa. Opadająca kurtyna włosów odsłoniła poderżnięte gardło i zaschniętą krew pokrywającą obficie lnianą koszulę.

– Nie... błagam... tylko nie to... – jęknęłam wiedząc jednak, co niedługo dane mi będzie ujrzeć.

W jednej chwili zapomniałam o ostrożności. Było mi już wszystko jedno.

Nogi same poniosły mnie do namiotów. Tam znalazłam kolejne zwłoki. Jeden z mężczyzn przebity strzałą leżał oparty o stertę drewna. Czyjeś nogi wystawały z pomiędzy pół namiotu. Dalej jeden z drwali spoczywał przy wygasłym ognisku. Jego głowę rozrąbano niemal na pół, prawdopodobnie toporem lub ciężkim mieczem o szerokiej klindze. Widziałam już kiedyś takie.

Mijałam trupy ledwo na nie patrząc. Było ich około dwudziestu: członkowie mających tu zamieszkać rodzin oraz wszyscy, co zaoferowali pomoc w budowie. Nie opuszczało mnie dziwne odrętwienie. Wszystko to wydawało mi się nierzeczywiste; te rozciągnięte w groteskowych pozach martwe ciała były jak wytwory umysłu gnębionego nocnym koszmarem. Ale ten koszmar wcale mi się nie śnił.

– Proszę... To nie mogło się stać...

Los jednak był nieczuły na moje błagania. Wkrótce je znalazłam – te, których naprawdę tu szukałam. Musiałam przejść przez cały obóz, aż do przeciwległej linii drzew. Przy jednym z nich leżała Sabinnu. Nawet w takiej chwili wyglądała godnie i pięknie w promieniach wiosennego słońca. Jej bystre oczy, niewzruszone pomimo rozpłatanej szyi, patrzyły w niebo jakby widziały już czekającą ją chwałę bohaterki. Drobna dłoń bowiem do końca dzierżyła miecz, klinga zaś zbroczona była krwią. Vadinka poległa nieco dalej. Wyciągała ręce ku siostrze, chcąc do końca być przy niej, nie bacząc na dwie wbite głęboko w plecy strzały. Ona również walczyła. Jej kołczan był niemal pusty.

Łowieckie doświadczenie nie pozwoliło mi nie zauważyć wielu śladów przychodzących z lasu. Podążając za nimi wkroczyłam w cień drzew, równocześnie coraz bardziej zagłębiając się w mgłę odrętwienia. Pierwszego Strizlapallończyka znalazłam kilkanaście metrów dalej w zaroślach. Nieopodal podziurawieni

strzałami leżeli następni. Razem pięciu. Drogo okupili atak z zaskoczenia na niemal nieuzbrojonych osadników, pomyślałam, gdy nagle za plecami rozległ się ostrzegawczy szelest.

Błyskawicznie napięłam cięciwę. Mało brakowało, a ustrzeliłabym jednego z moich uczniów. Stali tam wszyscy bladzi z przerażenia. Opuściłam wymierzony w nich łuk.

– Aromi? – słabo odezwał się jeden – kto to uczynił?

– Co teraz będzie? – zawtórował mu drugi.

Co będzie? Teraz nie będzie już nic, pomyślałam. Osuwając się na kolana patrzyłam w niebo. Widziałam tylko błękit. Tonęłam w błękicie niczym w głębi wód, a wypływały one z pękającej skały. Sucha, jałowa skała wewnątrz mnie kruszyła się z trzaskiem, rozpadała, runęła lawiną tysięcy kamieni. Był tylko błękit ich łagodnych mądrych oczu, które nigdy już na mnie nie spojrzą, nigdy już nie będą mi wiernie towarzyszyć. Nigdy nie ujrzą nowej wspaniałej Andumrii.

Leśna ściółka wysypywała się z moich mocno zaciśniętych dłoni, gdzieś z daleka uszu dobiegało jakieś zwierzęce wycie. Dopiero po chwili, gdy szum krwi ustąpił nieco, uświadomiłam sobie, że wydobywa się ono z mojego gardła. Wtedy też zamilkły szalejące myśli, błękit oczu Sabinnu i Vadinki odpłynął w niebyt, gdzie nieodwracalnie wysłał go Strizlapalloński oręż. W tej nagłej, pełnej jasności ciszy, wymówiłam szeptem tylko jedno słowo.

– Gemore.

Powtórzyłam je jeszcze kilkukrotnie idąc wciąż jak we śnie. Za mną w pewnej odległości podążali uczniowie, zbyt przerażeni, by rzec cokolwiek. I gdy dotarłam do Galonvale, już nie szeptałam. Słowo opuszczało moje usta z rykiem wściekłości.

– Gemore!

Mężczyźni zbiegli się zaniepokojeni. Zadawali pytania, choć pewnie sama moja twarz wystarczała za odpowiedź. Co bystrzejsi może nawet rozpoznali niesiony przeze mnie przedmiot. Mijałam ich bez słowa wyjaśnienia. Tego, co czułam nie sposób było wyrazić słowami, to zaś, co chciałam zrobić zawarte było w jednym zaledwie powtarzanym coraz głośniej i coraz wściekłej słowie.

– Gemore! Gemore! GEMORE!!!

Rękojeść miecza sama trafiła do mojej dłoni. Byłam już pod chatą starca, gdy drogę zdecydowanie zastąpił mi Wrrudan.

– Co ty robisz?!

– To, co powinnam była zrobić już dawno temu.

Nie dał się wyminąć. Sztych miecza znieruchomiał wymierzony w jego pierś.

– Zejdź mi z drogi, Wrrudan.

– Widzę, że coś się stało. Odłóż broń i powiedz mi, Aromi. Powiedz nam wszystkim.

Dookoła bowiem zrobiło się spore zbiegowisko ściągnięte moim krzykiem. Mężczyźni i kobiety patrzyli nic nie rozumiejąc.

– Strizlapallończycy najechali nową osadę. To się stało! – rzuciłam mu w twarz. – Wymordowali wszystkich, najpewniej dzisiaj wczesnym rankiem bądź w nocy.

Zszokowana grupa gapiów wydała bolesny jęk, twarze pełne niedowierzania patrzyły po sobie.

– Jesteś pewna, że to oni?

– Trudno o większą pewność, gdy leży tam pięć ich trupów.

Mówiąc rzuciłam na ziemię strzaskany fragment poroża z hełmu tak, by wszyscy widzieli.

– No, wyłaźże, Gemore! Gdzie jesteś, o starszy, gdy nasz lud jest w potrzebie?! – zawołałam szyderczo.

Drzwi domu otworzyły się. Przygarbiony wychudzony starzec wspierał się ciężko na kosturze, lecz oczy dalej błyszczały mu przebiegłością.

– Co to za wrzaski? – zapytał głosem, który nie utracił dawnej władczości.

– Krzyczy do ciebie krew, Gemore. Wołają trupy Andumrian, których posłałeś na śmierć. Wróg zlekceważony przez ciebie zarżnął ich jak świnie, wyciął w pień, a każde z nich było po stokroć więcej warte niż ty i twoje przeklęte gierki. Zignorowałeś moje obawy, przekonywałeś wszystkich, że nie ma zagrożenia, byleby tylko napsuć mi krwi. Jesteś zadowolony? Strizlapallończycy zabili ponad dwudziestu z nas – co masz nam do powiedzenia? Co masz do powiedzenia Andumrii?!

Świdrował mnie wzrokiem podczas całej przemowy, nie było w nim jednak strachu.

– Mnie pytasz, Aromi? Czy ja jestem przywódcą? Od zawsze starszyzna była ci zawadą. Odkąd pamiętam przeciwstawiałaś się naszym słowom. Dlaczego zatem, skoro taką ufność pokładasz we własnej mądrości, nie poszłaś za jej głosem? Jestem tylko chorym starcem, czas moich rządów minął. Wzięłaś odpowiedzialność za nasz lud i podjęłaś błędną decyzję, a ta kosztowała życie nasze dzieci. Nie dręcz mnie, kobieto. Nie ja jestem winien śmierci tych ludzi, lecz twoja niekompetencja.

– Jedynym moim błędem było pozwolić ci żyć.

Tym razem Wrrudanowi ledwo udało się mnie powstrzymać. Dopiero przy samych drzwiach dopędził mnie zasłaniając starca własnym ciałem.

– To niczego nie rozwiąże! – wrzasnął patrząc na mój wzniesiony do ciosu miecz. – Dość już krwi straciła dziś Andumria, twoja zemsta nie wróci im życia! Wszyscy się myliliśmy, Aromi, ja też. To ty miałaś słuszność. Ale nie Gemore zabił członków naszego ludu, tylko Strizlapallończycy. Na nich spoczywa cały ciężar winy i na nich powinna spaść nasza pomsta. Czeka nas wojna. Musisz poprowadzić nas raz jeszcze, lecz nie wygramy jej mordując siebie nawzajem. Zachowaj swoją wściekłość na wroga.

– Od kiedy zrobiłeś się taki chętny do walki?! Już trzy lata temu mogliśmy zmiażdżyć barbarzyńców. Co wtedy mówiłeś?! Że wojna się skończyła! Przez was zginęli najważniejsi z nas, sól tej ziemi, złoto naszego ludu. Zabiłabym was wszystkich, byle oni mogli żyć dalej!!!

Sztych miecza wskazał wszystkich zgromadzonych. W ślad za nim patrzyłam na każdą skamieniałą ze zgrozy twarz, które, co prawda zachowywały milczenie, lecz jasno dało się z nich wyczytać, co myślą.

– Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, ale racz powstrzymać się od słów, których jutro będziesz żałować. Niech Andumria opłacze swoje dzieci. Uczcijmy ich pamięć godnie. Oddaj mi miecz.

Oczy Wrrudana wyrażały stanowczość, gdy wyciągnął do mnie dłoń.

– Oddaj miecz, Aromi – powtórzył z naciskiem.

Gemore niczym stary kocur beznamiętnie przypatrywał mi się. Twój ruch, kobieto – zdawał się mówić – czego teraz nie zrobisz, stracisz w ich oczach. No, dalej, pokaż kolejny raz, że nie nadajesz się, by przewodzić naszemu ludowi.

Klinga miecza opadła do ziemi, zakończona ciężką głowicą rękojeść zbliżyła się do ręki Wrrudana. Wojownik dał krok, by ją chwycić. Jego palce już prawie objęły stal, gdy ta nagle wystrzeliła naprzód. Kulą głowicy pchnęłam z całej siły w jego nieprzygotowany na atak brzuch. Miecz to nie tylko jego ostrze, jak zwykł mawiać Nahro. Wrrudan stęknął. Nie czekając, aż dojdzie do siebie z rozmachem poprawiłam mu kolanem w podbrzusze, a gdy z jękiem zgiął się wpół, rąbnęłam jeszcze w kark nasadą pięści. Natychmiast runął na twarz.

Starzec przyjął wymierzone w niego ostrze z obojętnością. Nic nie rzekł, samym spojrzeniem rzucał mi wyzwanie. Zacisnęłam dłoń na rękojeści gotowa rozpłatać to słabowite ciało, jednym cięciem uwolnić się od prześladującego mnie intryganta. Zaraz jednak wszystko pojęłam. On tego chciał. Chciał zrobić ze mnie kata niewinnego staruszka, w swym ostatnim spektaklu zagrać męczennika zgładzonego przez szaloną przywódczynię. To dałoby dużo lepszy efekt, niż gdyby nawet zakrzyknął na całe gardło: "Spójrzcie tylko na nią! Za kimś takim chcecie iść?!".

– Pożyjesz jeszcze trochę, starcze – powiedziałam drżącym od gniewu głosem. – I oby każdego dzielącego cię od śmierci dnia bohaterscy obrońcy Andumrii odwiedzali cię w snach, żeby przypominać, co zrobiłeś.

Ciśnięty pod jego stopy miecz zabrzęczał głucho.

– Mój koniec jest bliski. Żyję już długo i wkrótce odpocznę. Ale przed tobą, Aromi, jeszcze wiele lat. Czy starczy ci mądrości, by rządzić Andumrią równie długo, co ja?

Nie odpowiedziałam na jego wątpliwość. Gdy on mówił, byłam już w drodze do swojego domu. Szłam powoli i drugi raz w moim życiu jedynym, czego pragnęłam, było umrzeć. Nikt mnie nie zatrzymywał.

Po około dwóch godzinach przyszedł Huo. Dopiero co usłyszał straszne wieści, gdyż podczas zajścia pod domem Gemore przebywał poza Galonvale. Zastał mnie zwiniętą w kłębek na posłaniu w mroku pozamykanych okiennic. Nie miałam jemu, ani komukolwiek innemu, nic do powiedzenia. Ci jedyni, z którymi chciałam wtedy rozmawiać, już nie żyli.

– Wiem, że nie chcesz mnie widzieć. To także po części moja wina, gdybym wtedy poszedł z tobą, być może nie doszłoby do tego.

Nie odpowiedziałam. On jednak nie przyszedł się kajać, ludzie jego pokroju nigdy tego nie robią.

– Ten atak to dopiero początek. Barbarzyńcy przyjdą, to kwestia czasu. Są gotowi do wojny, skoro pozwolili sobie na coś takiego. Musimy zacząć działać, Aromi. Nastroje w osadzie nie są dobre, nie tylko przez tę rzeź; ludzi martwią twoje słowa. Trzeba ich zmobilizować, podnieść lud na duchu.

– Teraz chcą, bym do nich mówiła? – odwarknęłam. – Trzy lata temu nie chcieli słuchać, dziś też nie będą.

– Trzeba zacząć przygotowania do obrony. Nie mo...

– Obrony?! – przerwałam mu zrywając się na nogi. – Nie można wygrać wojny broniąc się. To zdumiewające, że tylu z nas zginęło od strizlapallońskiego oręża, a wy wciąż nie potraficie tego pojąć!

– To co zamierzasz?! Nie możemy patrzeć z założonymi rękami jak nas mordują!

– Barbarzyńcy nie są gotowi do wojny. Nie mogą być. Na tych ziemiach stracili najlepszych ludzi, dekada to zbyt mało, by odbudować dawną potęgę. Musieli napaść na nas z innego powodu. Choć uderzyli z zaskoczenia, na nieliczną grupę nieprzygotowaną do walki, stracili aż pięciu ludzi. Nie zastanawia cię to? Atak albo przeprowadził zupełny głupiec, a, mimo wszystko, nie podejrzewam naszych wrogów o aż taką głupotę, albo działano w pośpiechu, bez rozeznania. Trzy lata temu niewielki oddział Strizlapallończyków włóczył się po naszych terenach i wbijał w ziemię słupy z kośćmi, ryzykując śmierć w razie spotkania z nami. Musi stać za tym jakiś cel! Barbarzyńcy bywają nadmiernie pewni siebie, ale nie są obłąkani.

– To tylko domysły. Od zawsze przecież nas lekceważyli. Pewnie nawet porażka pod Galonvale nie zmieniła ich nastawienia.

– Jestem pewna, że nie. Dlatego właśnie to my zaatakujemy. Nic nie zaskoczy ich bardziej.

Huo zamilkł. Zawsze był raczej człowiekiem czynu, nie zachowawczym myślicielem. Po chwili jego twarz rozświetlił dobrze mi znany pełen spokojnej pewności siebie uśmiech.

– Jest jednak pewna przeszkoda... – ciągnęłam.

– Gemore.

– Potrzebny nam będzie każdy miecz; nie wiadomo co zastaniemy w Strizlapallonie. Wielu będzie niezdecydowanych. Jeśli podburzy ludzi przeciwko mnie, wyprawa może się nie powieść. Już kiedyś mu się to udało – dodałam znacząco.

Wojownik zmarszczył brwi. Zgodnie z moimi oczekiwaniami nie namyślał się długo.

– Nie musisz się nim przejmować. Osiągnął sędziwy wiek, kres jego dni może nadejść w każdej chwili. Nikt by się nie zdziwił, gdyby nie dożył poranka.

Przypatrzyłam mu się uważnie. Jednak w głębi ducha czuł się winny. Nie zrezygnuje z danej mu możliwości odkupienia. Skinęłam głową.

– Jutro zwołam zebranie. Tego dnia pogrążmy się w żałobie, następnego wybije godzina zemsty.

Huo ruszył, by odejść, lecz po paru krokach zatrzymał się.

– Miałaś rację, Aromi... – rzekł odwrócony do mnie plecami.

– To się dopiero okaże.

Stał tak jeszcze przez moment jakby się zastanawiał.

– To ty mnie stworzyłaś – powiedział cicho i opuścił mój dom.

Tej nocy sen długo nie przychodził. Leżałam w mroku sama ze swoją goryczą, każdą myślą smagając się jak knutem. Gdy wreszcie opuchnięte od łez powieki opadły, otworzył się przede mną bezmiar ciemnej puszczy. Z mieczem w dłoni szłam na czele milczącej armii. Szeleszczące drzewa były potężne, zdawały się sięgać nieba. Otaczały nas zionąc bezgłośną wrogością, jakby tliła się wewnątrz nich złowroga świadomość, jakieś wypaczone życie, lecz było go zbyt mało, by mogły nas zgnieść ogromnymi gałęziami. Pomiędzy konarami przemykały szybko wysokie cienie postaci, których głowy wieńczyły okazałe poroża.

– Prowadź nas – powiedziała maszerująca za mną Sabinnu charczącym głosem z przeciętego gardła.

– Prowadź, Aromi – dodała Vadinka.

A potem ich zimne trupie dłonie spoczęły na moich ramionach. Podobne do szponów palce zaciskały się coraz mocniej i mocniej.

– Zbudź się! – wrzasnęły mi do uszu zionąc odorem śmierci.

– Aromi, zbudź się! – powtórzył Baruf potrząsając mną.

Omal nie krzyknęłam mu prosto w twarz. Światło poranka za jego plecami nieśmiało zaglądało do ciemnej izby przez otwarte drzwi.

– Co... ? – jęknęłam zaspana.

– Obudź się, Aromi. Gemore nie żyje. Nocą umarł we śnie.

Wczoraj sprowadzono zwłoki bohaterskich obrońców budowanej osady. Dziś do ceremonii pogrzebowej, dołączono jeszcze jedne. Galonvale tego dnia było ciche i zamyślone. Ostatniej podróży poległych towarzyszył szloch, ziemię obficie rosiły łzy Andumrian.

Podczas przemowy po uroczystości ogłosiłam mobilizację do wojny. Dziesięć dni później każdy mężczyzna oraz każda potrafiąca walczyć kobieta mieli być gotowi do wyruszenia w drogę. Przedtem do strizlapallońskiej puszczy pójdzie zwiad. Kiedy szczegółowo omawiałam co kto ma robić, głowy zgromadzonych zwrócone były ku mnie. Wszystkie, poza jedną. Spuszczone oczy Huo nie spoglądały, tak jak inne, w przyszłość. On raczej rozpamiętywał to, co już się stało i będzie rozpamiętywał jeszcze długo. Być może do końca swego życia.

Tak oto pierwsza wojenna wyprawa Andumrian stała się faktem. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu. Podczas tych trzech dni drogi maszerowaliśmy wspólnie jak jedna pięść gotowi do uderzenia. Tempo było żwawe,

wszyscy aż rwali się do czynu. Morale oceniałam na wysokie, choć w obozowiskach nie słychać było śmiechów, ani pieśni. Na twarzach wojowników trwale zagościł wyraz zaciętości. Naprzód pchała nas nienawiść i chęć ukarania zabójców bezbronnych przyjaciół.

Nigdy nie wędrowałam tak daleko od naszych ziem. Teren stale się wznosił i po dwóch dniach marszu opuściliśmy dolinę. Zwiadowcy nie napotkali nawet śladu wroga. Przed ostatnim etapem podróży ponownie wysłałam zwiad, pozostałym tymczasem kazałam rozbić obóz. Za około dwa dni będziemy w Strizlapallonie, pomyślałam przechadzając się wśród namiotów. Im bliżej byliśmy celu, tym bardziej narastał we mnie niepokój. Co jeśli zostaniemy pobici? Tak, jak poprzednio postawiłam wszystko na jedną kartę, różnica polegała na tym, że tym razem to my wkraczaliśmy w nieznane. Wróg, co prawda nie spodziewał się nas, ale to był jego teren; jego świat, o którym słyszeliśmy tylko w opowieściach. Czy mieliśmy jednak jakiś wybór? W końcu barbarzyńcy przyszliby po nas, uderzyli z jeszcze większą furią po doznanym przed laty upokorzeniu. Zamiast czekać, my wymierzymy pierwszy cios. Przejęcie inicjatywy, to już połowa wygranej walki, jak uczył mnie Nahro. Jakże odległe w czasie wydały mi się nagle jego słowa, jak wiele od tego czasu się wydarzyło.

Zwiadowcy nie zauważyli nikogo. Dotarli do puszczy, gdzie znaleźli trochę świeżych śladów, ale nic poza tym. Właściwie nie należało spodziewać się niczego innego. Strizlapallończycy mieszkają za pewne dużo dalej w głębi.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Patrząc na twarze współtowarzyszy zauważyłam te same wątpliwości, choć oczywiście nikt nie wyrażał ich na głos. Nasi wojownicy nie bali się walki, myśl o śmierci w boju nie budziła w nich przerażenia. Przeciwnie, każdy z nich marzył, by kiedyś śpiewano pieśni o jego bohaterstwie. Źródłem niepewności było nieznane, w które wkraczaliśmy. Dopiero zobaczywszy na własne oczy pojęłam jego prawdziwy wymiar.

Dwa dni później nasza podróż dobiegła końca. Przed nami rozpościerał się bezmiar ciemnej puszczy. Kraina Strizlapallonu powitała najeźdźców gwarem ukrytego w cieniu tysięcy drzew leśnego życia. Lasy Andumrii wyglądały przy tej nieskończonej, zdawać by się mogło, połaci niczym młode zagajniki.

– A niech mnie! – jęknął Wrrudan.

– Oni naprawdę tutaj żyją?! – zdziwił się Huo.

Na granicy leśnej krainy rozciągały się niewysokie skaliste pagórki, które daleko, daleko na wschodzie przechodziły w pasmo górskie. Otoczony nimi parów stanowił doskonałe miejsce do założenia obozowiska, gdyż teren był łatwy do obrony, a nieopodal płynął strumień. Natychmiast kazałam rozstawić posterunki obserwacyjne na wzniesieniach. Stojąc na szczycie jednego z nich doznałam nieprzyjemnego uczucia przytłoczenia. Mur drzew ciągnął się aż po horyzont. Majestatyczna prastara puszcza Strizlapallonu istniała na długo przedtem nim przyszłam na świat i istnieć będzie jeszcze wieki po mojej śmierci. Legendy o wędrówce naszego ludu do doliny Andumrii wspominają o jej istnieniu. Nasi przodkowie uznali te ziemie za niebezpieczne, a ja całe pokolenia później przyznałam im w duchu rację.

– Aromi, spójrz – ponury głos Huo oderwał mnie od myśli.

Jego wyciągnięty palec wskazywał północny zachód. Ponad dachem zieleni unosił się tam siwy dym.

– A zatem żyją tu, jak widzisz – uśmiechnęłam się. – Wybierz trzech dobrych łowczych i zbierajcie się.

Chce zobaczyć jak mieszkają barbarzyńcy.

Dzień rozświetlał przyjemny blask słońca, choć na wschodzie widoczne już były ciemne chmury nad szczytami gór. Z chwilą, gdy nasza szóstka ostrożnie przekroczyła granicę krainy Strizlapallonu, natychmiast nastał wieczór. Ciepłe promienie nie miały szans przedrzeć się przez mur zieleni. Wiatr ustał momentalnie. Puszcza zaledwie po kilkunastu metrach zamknęła się wokół nas. Nasze stopy grzęzły w grubym dywanie runa, nozdrza wypełniał nam duszny zapach roślinności. Szwargot ukrytych w gęstwinie zwierząt nie cichł nawet na moment. Nie sposób było ocenić odległości, tak nietypowo rozchodził się tutaj dźwięk. Nigdy nie widziałam równie okazałych konarów drzew. Zdawały się być kolumnami wspierającymi dach setek koron rozciągnięty nad całą krainą.

– Popatrzcie na te ślady!

Huo wskazał nam dziwne zagłębienia w glebie. Przypominały nieco ślady kopyt bydła, a cokolwiek je zostawiło, również musiało być nielicho ciężkie. Pomyślałam o dziwnych piórach zatkniętych na paliku z czaszką. W tej puszczy z pewnością żyją zwierzęta, których nikt z nas nie widział jeszcze na oczy.

Szliśmy dalej na północny zachód zachowując ostrożność. Jak dotąd nie natrafiliśmy na żadne tropy ludzi. Zastanawiało mnie to. Czyżby Strizlapallończycy nie wychodzili z puszczy? Wtem nagły hałas, gdzieś zaskakująco blisko nas, zmroził mi krew.

– Kryć się! – poleciłam cicho chowając się za najbliższym drzewem.

Moi towarzysze byli świetnie wyszkoleni. Każdy natychmiast zniknął i zamarł bez ruchu. Dźwięk narastał. Szelest liści i lekki miarowy stukot. Potem głośne prychnięcie. Widok stworzenia, które wyłoniło się zza konaru drzewa, jakieś siedem metrów przede mną, sprawił, że aż jęknęłam mimowolnie. Było wielkie, potężne, pełne gracji, uosabiało niemalże majestat puszczy. Na jego sporym kudłatym łbie zauważyłam coś, co przez ostatnie lata kilka razy nawiedziło mnie w sennych koszmarach. Rozłożyste poroże zdawało się nic nie ważyć, gdy zwierzę rozglądało się niespiesznie po okolicy. Chyba nie było świadome naszej obecności. Chrząknęło gardłowo, po czym podjęło marsz, by zaraz zniknąć w gęstwinie. Odważyliśmy się opuścić kryjówki dopiero, gdy ucichły jego kroki.

– Więc to na nie polują – odezwał się Jantumun. – Słowo daję, nie chciałbym stanąć z tym oko w oko bez mojego łuku w garści. Wilki, które spotykałem na południu, to przy tej bestii bezbronne szczeniaki.

Na pierwsze oznaki żyjących tu ludzi natrafiliśmy dopiero po około godzinie marszu. W dole głębokiego na mniej więcej dwa metry jaru płynął wartki strumień. Wokół zauważyłam sporo śladów, tworzyły wręcz wydeptane ścieżki. Najszersza z nich po chwili doprowadziła nas do celu wyprawy.

Strizlapallońska wioska leżała w płytkiej niecce. Kilkanaście drewnianych chałup – raczej lichych, ale krytych słomą – stanowiło nieregularny okrąg. Na obrzeżu zauważyłam tę, z której unosił się zaobserwowany dym – prawdopodobnie kuźnię. Były też kurniki, zagrody dla bydła, nieco na uboczu stał warsztat garbarski. Po osadzie krążyły głównie zajęte pracą kobiety oraz bawiące się nieliczne dzieci. Wojenne straty po dziś dzień dało się łatwo zauważyć. Dwójka jedynych widocznych, póki co, mężczyzn stała w centrum wioski, a gdy spostrzegłam, czym się zajmują, bezwiednie wciągnęłam powietrze z głośnym westchnieniem.

– Co to jest, do ciężkiego licha? – najwyraźniej podzielił moje obawy Huo.

– Już to gdzieś widziałem. Czy nie coś podobnego barbarzyńcy postawili w Galonvale? – dodał Jantumun.

Dobrze pamiętał, pomyślałam czując jak po plecach przechodzi mi nieprzyjemny dreszcz. Palik zwieńczony czaszką stał w naszej osadzie i, choć zdemontowaliśmy go i spaliliśmy, po dziś dzień tamten wypalony krąg nie zarósł trawą. Na podobny natrafiły Sabinnu i Vadinka we wschodnich lasach. To, co stało po środku ukrytej w puszczy wioski Strizlapallończyków nie było już palikiem. Ponad dachami chat górował gruby ociosany słup z drewna. Podobnie jak poprzednie konstrukcje, okalał go krąg kamieni wraz z wypaloną wewnątrz ziemią. Strizlapallońscy mężczyźni, nieświadomi faktu, że są obserwowani, właśnie rysowali coś na niej. Nie to jednak było najbardziej niepokojące. Dziwna konstrukcja nie posiadała zwieńczenia. Teraz, zamiast kości i metalowych kółeczek, do słupa przywiązano sporo ludzkich czaszek, które, przyozdobione kolorowymi piórami kołysały się lekko na wietrze niczym jakieś upiorne korale na szyi dziewczyny. Tknięta nagłą myślą przypatrywałam się im z mocno bijącym sercem.

– Aromi, te czaszki... Skąd tu ich aż tyle...? – Huo najwyraźniej myślał podobnie.

W tym samym momencie jeden z obserwowanych mężczyzn stojących w zagadkowym kręgu wyprostował się, po czym przyozdobił wiszącą najniżej czaszkę kolejnym długim piórem. Następnie obaj ostrożnie opuścili otoczony kamieniami obszar słupa.

Moje dłonie zadygotały od gorejącego gniewu. Musiałam z całych sił je zacisnąć, żeby, wyprzedzając myśli, nie sięgnęły do kołczanu po strzałę.

– Wyglądają na stare. Myślisz, że oni... – jęknął Jantumun.

Wcale nie myślałam. Byłam tego pewna. Po najeździe Strizlapallończyków na Galonvale, zmuszeni do ucieczki pozostawiliśmy ciała poległych. Dużo ciał.

– Huo, wróć do obozu. My będziemy dalej obserwować – powiedziałam dziwiąc się jak spokojnie, wręcz beznamiętnie brzmiał mój głos. – Zbierz ze trzydziestu ludzi, ale nie tych najbardziej doświadczonych. Potrzebni mi będą młodzi, najlepiej ci, których sama szkoliłam. Wybierz wedle woli, zdaję się na ciebie. Wieczorem, ale jeszcze nim zajdzie słońce, mają być tutaj.

W ślad za mną popatrzył na przechadzające się po wiosce kobiety i dzieci. Oczy pozostałych łowczych wyrażały konsternację, ale mój dawny wychowanek tylko błysnął wilczym uśmiechem.

– Będzie, jak każesz – skinął mi głową. Bezzwłocznie ruszył w drogę cicho i zwinnie niczym kot. Po kilkunastu sekundach zniknął w gęstwinie.

Przez następne godziny obserwowaliśmy wioskę, każdy z innej strony. Gdyby nie złowrogi cień słupa, toczące się w niej życie można by uznać za zwyczajne. Bardzo podobne do naszego, pomyślałam i zaraz poczułam gwałtowny sprzeciw. Jakże to, barbarzyńcy mają żyć tak jak my?! Przecież to brutalne, nieokrzesane bękarty puszczy, a zajmuje ich ta sama codzienna krzątanina, co nas. Kobiety tam samo przyrządzają strawę, chodzą nad strumień, tkają i doglądają potomstwa. Ich dzieci oraz młodzież nie różnią się wiele od naszych, poza ciemniejszymi włosami i oczami, podobnie dokazują, czy pomagają w prostych pracach. Z drugiej strony, czego innego się spodziewałam?

Skąd właściwie wzięli się Strizlapallończycy? Legendy naszego ludu opowiadają o puszczy, ale milczą

na temat zamieszkujących ją ludzi. Może wcale nie pochodzą stąd. Może jakaś nieznana daleka urodzajna kraina zrodziła niegdyś plemię brodatych wojowników i dlatego teraz tak pożądają naszej żyznej ziemi? Czy ich także ktoś wygnał z własnego terytorium? Nigdy w ten sposób nie myślałam o naszych wrogach.

Niebo zszarzało wcześniej niż zwykle za sprawą nadejścia ciemnych chmur ze wschodu. Chwilę potem, gdy szum deszczu nawiedził krainę Strizlapallonu, Huo powrócił z wojownikami. Ich młode ponure twarze patrzyły na mnie bez cienia strachu. Wiedziałam, że pójdą za mną wszędzie. Wychowałam ich, nauczyłam wszystkiego, co sama umiem. Będą zabijać na rozkaz; mylnie pojmowane miłosierdzie, ani wyrzuty sumienia nie powstrzymają ich mieczy przed przelaniem strizlapallońskiej krwi. Zadowolona z ich postawy zaczęłam objaśniać plan ataku.

– Ścieżka, którą przyszliśmy prowadzi przez całą osadę i rozwidla się za słupem na północny-wschód i północny-zachód. Z tych trzech kierunków poprowadzimy natarcie. Podzielcie się na trzy grupy. Rozstaw co około pięć metrów. Oszczędźcie ze dwie dorosłe kobiety, chciałabym później wydobyć z nich kilka informacji. Resztę zabijcie, nie pozwólcie nikomu uciec. Z naszych obserwacji wynika, że w wiosce jest tylko pięciu mężczyzn. Reszta być może wyruszyła na polowanie, dostrzegłam sporo śladów prowadzących na północ. Teraz rozstawcie się i przygotujcie. Gdy zacznie zmierzchać, dam sygnał do ataku.

Wojownicy ruszyli na pozycje. Ja również, wraz z moją grupą, poczęłam czynić przygotowania. Huo przyniósł mi moją kolczugę, hełm oraz pas z mieczem. Właśnie go zakładałam, gdy podszedł Jantumun. Wyraz jego twarzy znacznie różnił się od tego u młodszych towarzyszy.

– Nie chciałem mówić przy innych, ale nie mogę zachować milczenia, wobec tego, co widzę – rzekł.

– Nie ukrywaj swoich myśli. Jak wiesz, zawsze jestem gotowa wysłuchać każdego z mojego ludu.

– Posłuchaj zatem o hańbie, do której nas prowadzisz. Nie jestem zbójcą, który morduje kobiety. Samo wysłuchanie twoich słów było dla mnie plamą na honorze. Nie zamierzam nawet patrzeć, a co dopiero brać udziału w tej rzezi.

Słuchając go spokojnie przypasałam miecz, a potem założyłam hełm.

– Jesteśmy na wojnie, Jantumunie, nigdy nie ukrywałam, po co tu idziemy. Ale jeśli nie potrafisz tego znieść, to proszę, odejdź – niedbale wskazałam na ścieżkę. – Pamiętaj tylko o jednym. Gdy teraz odwrócisz się do mnie plecami, uznam, że nie należysz już do mojego ludu.

Mężczyzna gwałtownie poczerwieniał. Mój lodowaty ton sprawił jednak, że zachował milczenie.

– Będziesz dla mnie kolejnym Strizlapallończykiem, wrogiem, którego poprzysięgłam zwalczać. Albo twój miecz jest z nami, albo przeciw nam.

– Nie odważysz się – wycedził rozgniewany – Starszyzna nigdy nie pozwoliłaby na takie barbarzyństwo. Myślisz, że inni będą na to spokojnie patrzeć?!

– Ja wychowałam ich wszystkich, nie starszyzna. Widzą we mnie wybawczynię Andumrii, wzór do naśladowania pod każdym względem. Nocą przy ognisku z wypiekami na twarzy opowiadają sobie szeptem o dawnych zwycięstwach, do których poprowadziłam naszych wojowników. Jeśli jednak uważasz, że poprą ciebie, śmiało, przekonajmy się.

Nagle wyraz twarzy Jantumuna złagodniał, zaciśnięte pięści rozwarły się.

– Ta zemsta nie ukoi bólu, Aromi. Będzie tylko gorzej, wierz mi.

Mylisz się, pomyślałam. Nie odbiorą mi już żadnej bliskiej osoby. Nigdy.

– Twoje uwagi zostały odnotowane. Wracaj do swojego oddziału – powiedziałam spokojnie i odeszłam nie czekając na odpowiedź.

Ciepły deszcz zacinał równo. Zadziwiające jak krople wody zdołały się przedrzeć przez wiszący nad naszymi głowami dach zieleni. Bardzo dobrze, pomyślałam, ulewa stłumi odgłosy bitwy. Podeszłam do Huo, który, wraz z naszym oddziałem, krył się w zaroślach na granicy niecki. W szarości dnia jego oczy błyszczały.

– Znów ramię w ramię bijemy barbarzyńców. Jak za dawnych lat, co? – uśmiechnął się półgębkiem.

– Wszyscy gotowi? – zapytałam.

Odpowiedzią były obnażone ostrza i oblicza pozbawione wszelkich wątpliwości.

– Ruszamy.

Większość mieszkańców wioski schowała się przed deszczem. Gdy biegnąc w szyku opuściliśmy schronienie drzew, widziałam tylko jedną kobietę krzyczącą coś do gromadki dzieci ganiającej się w strugach wody.

– Weźcie tę chatę. My z Huo pójdziemy do kolejnej.

Wojownicy pobiegli. Nikt już się nie ukrywał, godzina zemsty wbiła.

– Naprzód!!!

Zaalarmowana moim krzykiem kobieta rozejrzała się lękliwie i zamarła ze zgrozy widząc pojawiające się znikąd postacie w stalowych zbrojach. Widziałam dokładnie jej twarz mierząc do niej z łuku; ten błysk zrozumienia, że oto nadszedł koniec.

Milcząca puszcza zagrzmiała naraz od bojowego okrzyku wielu gardeł. Zbyt wielu.

Wypuszczona strzała chybiła celu. Zdziwieni popatrzyliśmy na siebie z Huo; on także zrozumiał, że coś jest nie tak. Z mroku spowijającego drzewa wybiegali pozostali wojownicy Andumrii, zgodnie z moimi rozkazami, lecz nie tylko oni. Tuż za nimi krążyły złowrogie rogate cienie i zaraz ruszyły ich śladem. Ciemna puszcza zrodziła nagle dziesiątki Strizlapallończyków. Pojawiali się zewsząd – jakby dopiero co wyrośli ze zroszonej deszczem ściółki – rycząc wściekle, uzbrojeni, opancerzeni i gotowi do bitwy. Ziemia aż drżała od ich dzikich wrzasków, gdy rzucili się na nas jak wygłodniałe psy.

– To... to niemożliwe! – jęknął Huo.

Andumrianie nie od razu zdali sobie sprawę, że są otoczeni. Podstępnie zaatakowani padali jak muchy, północno-zachodni oddział na moich oczach został rozbity w kilka sekund.

– Wszyscy do słupa, już!!!

Dobywszy strzały, zabiłam nadbiegającego z tyłu wojownika z porożem. Wraz z Huo pobiegliśmy co tchu między chaty. Zewsząd dochodził straszliwy brzęk stali i towarzyszące mu krzyki umierających. Do ponurej konstrukcji zdołało dotrzeć zaledwie sześcioro z nas. Reszta broniła się rozpaczliwie, bądź już leżała martwa.

Strizlapallończycy byli wszędzie. Z każdego kierunku zbliżali się walcząc z nieopisaną furią.

– Aromi! – krzyknął ostrzegawczo Huo.

Biegli też i w naszą stronę. Położył jednego celnym strzałem, a ja kolejnego, lecz i tak mieli miażdżącą przewagę liczebną.

– Tarcze! Zewrzeć szyk!

Jeden z wrogów lekkomyślnie rzucił się na nasz szereg, by natychmiast paść od mieczy. To jednak nie miało już potrwać długo. Dwóch szykowało się do ataku z lewej, trzech z prawej, jeden nadchodził od przodu. Ten ostatni różnił się od pozostałych. Był naprawdę potężny, przypominał elitę armii Strizlapallonu idącą przed laty w pierwszej linii na Galonvale. Szeroką pierś chroniła ciężka łuskowa zbroja, wielkie dłonie dzierżyły topór oraz okrągłą tarczę. Co ciekawe, nie włożył hełmu. Nosił brodę, jak pozostali, choć nieco krótszą. Za to, w przeciwieństwie do włochatych towarzyszy, jego czaszka była gładko ogolona przy samej skórze. Zimne nieruchome oczy patrzyły prosto na mnie poprzez strugi deszczu.

– Dobrze, że mogę tak, w walce. Nie jak robak pod kamieniem. Przynajmniej na to zasłużyłem.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Huo wyszedł z szeregu.

– ZA ANDUMRIĘ! NA ŚMIERĆ! – krzyknął straszliwie i rzucił się na olbrzyma.

Sam nie był ułomkiem, lecz przy Strizlapallończyku wyglądał jak dziecko. Furiacki atak nie zrobił wrażenia na przeciwniku. Brodacz zszedł lekko na bok, by natychmiast kontratakować zza zasłony tarczy. Wiedział jak posługiwać się swym toporem. Po uderzeniu z góry zahaczył zakrzywionym żeleźcem tarczę Andumrianina, pociągnął w dół i rąbnął odsłoniętego Huo krawędzią swojej tarczy.

Ruszyłam na pomoc. Huo zatoczył się oszołomiony, a Strizlapallończyk brał już kolejny zamach. Ledwo zdążyłam. Ciężki topór, zamiast w pierś młodego wojownika, uderzył w klingę mojego miecza. Poczułam, jak energia uderzenia popłynęła przez ramię pulsując tępym bólem. Wróg odepchnął mnie z łatwością. Ze swoją siłą zrobiłby to nawet, gdybym nie stała w tak niestabilnej pozycji. Runęłam na ziemię kątem oka widząc, jak zaciekle bronią się pozostali przy słupie.

Olbrzym nacierał bez litości. Jego trzy kolejne ciosy spadły z hukiem na tarczę Huo, który chwiał się po każdym z nich. Nie był w stanie kontratakować. Widząc to, Strizlapallończyk wykonał zwód, a następnie błyskawicznie opuścił topór. Zakrzywionym obuchem zahaczył tył kolana Andumrianina i silnie pociągnął, jednocześnie napierając tarczą. Huo padł na plecy.

Gramoląc się z ziemi wiedziałam już, że tym razem nie zdążę. Mogłam tylko bezradnie patrzeć, jak wielki wojownik obraca w dłoni gotowy do uderzenia oręż. Zamiast tępego zakończenia obucha, jego topór z tyłu ostrza zaopatrzony był w solidny kolec o czworokątnym przekroju. Rozpędzona broń przeszyła po-

wietrze ze świstem. Stalowy szpic z łatwością przebił ogniwa kolczugi.

Wrzeszcząc doskoczyłam do wroga. Strizlapallończyk mocował się nie mogąc wyszarpnąć wbitego głęboko w pierś Huo topora. Musiał go zostawić, by odeprzeć mój atak. Leżący Andumrianin wył jak ranne zwierzę, ale nie zwracałam na to uwagi. Przepełniał mnie morderczy szał. W każde obszerne cięcie wkładałam całą siłę, całą moc mego gniewu nagromadzonego przez lata, by teraz, za jego pomocą, zgładzić bękarta puszczy. Choć spadający raz za razem miecz wygrywał melodię zniszczenia, choć furiacki atak trwał nieprzerwanie, na wrogu nie zrobiło to wrażenia. Olbrzym poruszał się lekko, jak na kogoś o takich rozmiarach. Za zasłoną tarczy chodził na boki amortyzując uderzenia, by po chwili wydobyć zza pasa zatkniętą tam buławę. Ciężki kawał stali natychmiast poszedł w ruch.

Olbrzym wyczekał mój kolejny atak i blokując go wszedł w klincz. Naparł na mnie swą potworną siłą, przez co jedyne, co mogłam zrobić, to cofać się. Metrowy miecz był bezużyteczny w bliskim kontakcie, za to krótka buława bardzo dobrze się sprawdziła. Okrągły bijak uderzał bez opamiętania. W pewnym momencie, gdy chciałam oderwać się od wroga i ciąć od dołu, barbarzyńca przechwycił moje uzbrojone ramię łapiąc je pod tarczę. Nie mogłam się wyrwać, był zbyt silny. Jego stal rąbnęła w mój hełm, kolano uderzyło w brzuch. Byłam zdezorientowana, nie wiedziałam skąd nadejdzie cios w tym chaotycznym zwarciu. Szarpnął mną, ramieniem wbił się za zasłonę tarczy, okutą w stal łapą wyrżnął w szczękę. Świat zawirował, szarość chmur zdawała się nagle spowijać ziemię. Widziałam tylko jak wróg bierze potężny zamach, a potem wszystko zniknęło za mgłą i przestałam odczuwać cokolwiek.

***

Odgłos kroków wyrywa mnie z zamyślenia. Leżąc wciąż lekko oszołomiona powracam do rzeczywistości, bo oto podkute buty miażdżą nieopodal mokrą trawę. Idą po mnie. Nagle na tle szarego nieba wyrasta on, potężny jak góra łysy wojownik z toporem. Jego oczy patrzą bez emocji.

– Skończ to, barbarzyńco. Nie mogę znieść... twojego widoku... Po prosu skończ – mówię.

On jednak stoi dalej bez ruchu. Dopiero po chwili unosi ramię z toporem. Straszne splamione krwią masywne ostrze w kształcie półksiężyca zawisa nad moją twarzą. Widzę stylisko, w wielkiej dłoni wyglądające jak zabawka. Strizlapallończyk operuje ciężką bronią bez wysiłku. Ostrze opada, lecz nie, by zabić. Czuję chłód stali na lewym policzku, a potem delikatnie odgarnia moje włosy. Mężczyzna patrzy z zaciekawieniem.

– Tak, barbarzyńco, to wasza robota. Kundel z twojego przeklętego ludu odciął mi ucho zaraz potem, gdy inny zamordował jednego z niewielu ludzi, na których mi prawdziwie zależało. Chcesz mi odrąbać drugie tą siekierą, psi synu?

Nie odpowiada, lecz jego twarz tężeje na dźwięk obelgi. Straszne nabiegłe krwią oblicze, paskudnie zmarszczona w wyrazie wściekłości bezwłosa skóra, przeszywający wzrok – wszystko to zdaje się ucieleśniać nieokiełznany gniew puszczy; szał niszczenia, który, zrodzony tajemnym sposobem w tym ciemnym miejscu, Strizlapallończycy przynieśli do naszej spokojnej krainy i zarazili nim nasze serca.

– Nie hamuj się, barbarzyńco. Zrób jedyne, co potrafisz. Zabij! Po to żyjesz, czyż nie?

Gdy jeszcze mówię, dobiegają mnie odgłosy kolejnych kroków. Zamiast olbrzyma, odzywa się ktoś inny.

– Próżna twa mowa, kobieto. Durqul ci nie odpowie. Nie mówi od dziecka, kiedy twoi pobratymcy na jego oczach zabili mu rodziców. Ojca zadźgali, matce poderżnęli gardło, a potem obcięli im uszy. I ty nas nazywasz barbarzyńcami?

Durqul! To imię uderza mnie mocniej, niż mógłby kiedykolwiek obuch wymierzonego we mnie topora. Pojawia się następny Strizlapallończyk. Ten, dla odmiany, jest raczej przysadzisty i grubo ciosany. Spod stożkowego hełmu wystają mu skudlone włosy. Ubrudzona krwią gęba patrzy na mnie z pogardą, gdy mówi dalej.

– To wasza przywódczyni chciała pozabijać kobiety i dzieci, które wzięła do niewoli. Sprzeciwiając się jej rozkazowi, ocalił je jakiś starzec. Ty, z jej polecenia, zabiłaś dziś mojego syna, za to zginie trzydziestu synów Andumrii. Napadłaś na naszą wioskę, za to spłonie jedna z waszych. A jak dostanę w swoje ręce sukę, która wam przewodzi, osobiście przybiję ją do tego słupa i będę napawał się każdą minutą, patrząc jak zdycha.

Mężczyzna spluwa nienawistnie, po czym odchodzi. Zostaję sam na sam z Durqulem, bezbronnym chłopcem, którego przed ponad dziesięciu laty omal nie zabiłam w krwawym szale podczas odbijania Galonvale. Na nowo przeżywam te sceny. Znów czuję słabe uderzenia piąstek i krzyki, że mnie nienawidzi. Te małe piąstki urosły do wielkich jak bochny dłoni, a wraz z nimi przez lata urosła nienawiść.

– Poznajesz mnie, Durqul? To musi być wspaniałe uczucie móc zemścić się po tak długim czasie.

Łysy wojownik wydaje się, że już ochłonął. Jego twarz znów jest beznamiętna. Beznamiętna pozostaje, gdy dzierżony w dłoni topór znów wędruje do góry. Mężczyzna przygląda się żeleźcu.

– Chociaż właściwie, jak mógłbyś się mścić? Zastanawiałeś się kiedyś jak wyglądałoby twoje życie, gdybym tamtej nocy postąpiła inaczej? Kim byłbyś teraz bez swojej nienawiści?

Gdzieś w tle słychać odgłosy krzątaniny. Ktoś wykrzykuje komendy. Patrzę w nieobecne oczy Durqula i niemal czuję, jak nakręca się spirala, jak napina niczym cięciwa łuku. Nie będzie trzeba długo czekać, aż wypuści strzałę. Nagle ogarnia mnie niewesoły chichot.

– To ja cię stworzyłam, barbarzyńco. Tylko dzięki mnie jesteś sobą.

Wojownik milczy. Wciąż wnikliwie studiuje zakrzywione ostrze topora, jakby to w nim zawarta była odpowiedź.

Nienawiść zawsze przychodzi z zewnątrz, myślę sobie. Kto wie, może do ludu zamieszkującego krainę Strizlapallonu dawno temu też przyszła, wypełzłszy z jakiegoś mrocznego omijanego przez wszystkich z daleka lasu? Choć moi przodkowie niegdyś ominęli Strizlapallon, po latach Strizlapallon przyszedł do nich.

Zapada zmierzch.

Dłoń Durqula zaciska się mocniej na drewnianym stylisku.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gabriel Dobosz, dodano 12.12.2017 10:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.